

adeste⁺

Pragnę, szukam, wierzę

NR 14 | LISTOPAD 2018

ISSN 2544-7424



Śmierć
lęk, nadzieja...
tajemnica



www.adeste.eu

Adres do korespondencji:

Łąpiguz 73, 22-400 Zamość
tel. 515 244 234
redakcja@adeste.eu

Wydawca i Redaktor Naczelny:

Bartłomiej Jan Wojnarowski

Redaguje zespół w składzie:

Krzysztof Działlik (sekretarz redakcji), Nina Małgorzata Kogut (sekretarz miesięcznika), Konrad Myszkowski (koordynator portalu adeste.eu), Piotr Władysław Sudół (sekretarz portalu), Antonio Akmadża, Piotr Bogdanowicz, Michał Gójski, Ks. Mateusz Kopa, Szymon Kozieja, Piotr Ulrich

Współpracownicy:

Mateusz Bednarek, Jan Borowski, Jan Buczyński, Mikołaj Durka, Wojciech Gątek, Marcei Hejwowski, Piotr Krajski, Dorota Ślęczek, Tymoteusz Pyda, ks. Dawid Sebastian Tyborski, Olga Wachowiec, Bartłomiej Witeszczak

Okładka, skład gazety w .pdf, opieka nad serwerem:

Tomasz Łukasik

Skład gazety w rozszerzeniach .mobi i .epub oraz główny webmaster adeste.eu:

Maciej Andrzej Laskowski

Rysownik i art-designer:

Zofia Bryłka

Dział korekty:

Patrycja Sowińska (szef działu korekty), Dorota Białecka, Kinga Grodzka, Laura Korzeniowska (korekta portalu), Magdalena Węglarz, Aleksandra Żak.

Dział rozwoju i promocji:

Anna Piontek - szef działu rozwoju i promocji Norbert Bryłka, Zofia Bryłka,, Tomasz Leszczyński, Aleksandra Liszka, Tomasz Łukasik, Szymon Stempkowski, Piotr Władysław Sudół.

Konsultacja teologiczna:

Piotr Bogdanowicz i Michał Ryłko

Post-korekta:

Joanna Miśkiewicz i Dominika Tomaszewska

A także każdy, kto modlitwą, pomocą, wsparciem technicznym, finansowym czy organizacyjnym przyczynił się do rozwoju tego dzieła.

+AMDG!+



Ilustracja: Zofia Bryłka

Spis treści

FELIETON

Śmierć za życia Olga Wachowicz	4
Myśl, cierpienie, sens Patryk Kępczyński	7
Noc spokojną i śmierć szczęśliwą [...], czyli o śmierci w modlitwie Kościoła Marceli Hejnowski	10
Śmierć w nauczaniu Soboru Watykańskie- go II Piotr Bogdanowicz	14
Żałoba po chrześcijańsku Jan Borowski	17
Jak żyć po chrześcijańsku? Recepta C.S. Lewisa cz. V Tymoteusz Pyda	20
Kary za grzechy – historia i znaczenie odpustów Piotr Bogdanowicz	25
Kobiety z wyobraźnią miłosierdzia Ks. Dawid Tyborski	30
Obrazy godnej śmierci Wojciech Gątek	33
Warunki uzyskania odpustów zupełnych Piotr Bogdanowicz	38
Pokazywać i pielęgnować to, co Boże Jan Buczyński:	40
Wszystko ku chwale Boga! Konrad Myszkowski	49
Percepcja śmierci w okresie średniowiecza Michał Gójski	51
Umarli świata żyjącego Olga Wachowicz	55
Skomponował: Marcin Luter – Reforma- cyjna pochwała muzyki, część 2. Mikołaj Durka	59
Śmiertelne oblicze neopogaństwa Bartłomiej Witeszczak	66
Ofiara z życia w polskiej kulturze Szymon Kozieja	72
Polska historia ze szwedzkim akcentem Nina Kogut	76
Na granicy życia i śmierci Piotr Krajski	80



źródło:unsplash.com

„Ponieważ zaś dzieci uczestniczą we krwi i ciele, dlatego i On także bez żadnej różnicy stał się ich uczestnikiem, aby przez śmierć pokonać tego, który dzierżył władzę nad śmiercią, to jest diabła”. Hbr 2, 14

Drodzy Czytelnicy i Sympatycy miesięcznika „Adeste”!

Listopad to zgodnie z wczesnochrześcijańskim zwyczajem miesiąc poświęcony pamięci zmarłych. Widocznie jest to szczególnie w Polsce, gdzie cmentarze stają się jasne jak nigdy.

Tradycja tak powszechna i uznawana nawet przez religijnie letnich, że stała się niemal folklorem. Dlatego Kościół wzywa nas w listopadzie, byśmy pomyśleli odważnie, jaka była ich i jaka będzie nasza śmierć. Temat bolesny, nieraz stający kulturowe tabu, ale ważny, bo dotyczący każdego z nas. Kruchość egzystencji i przemijanie to kwestie, od których nikt z nas nie powinien uciekać. Dlatego my, młodzi Kościoła, chcemy wyrazić swój głos, swoje spojrzenie na śmierć, sprawy ostateczne, całą nadzieję, ale i wątpliwości, które wiążą się ze śmiercią.

Dlatego oddajemy do Waszych rąk najnowszy numer miesięcznika Adeste. Obszerny, bogaty w różnorodność tematów, kontekstów i głosów. Razem z Wami w listopadzie będziemy chcieli zastanowić się nad tajemnicą śmierci i zatrzymać się na krawędzi lęku i nadziei. W 14. numerze odnajdziecie artykuły pełne odważnych pytań, rozważania o sensie i znaczeniu śmierci w życiu chrześcijanina, znakomite teksty z działu kultura i społeczeństwo oraz celne felietony.

Specjalnie z okazji 100. lecia polskiej niepodległości porozmawialiśmy z biskupem Markiem Solarczykiem o ojczyźnie, Kościele i zaangażowaniu księży w życie publiczne.

Mamy nadzieję, że każdy z Was odnajdzie w nim coś dla siebie i przede wszystkim włączy się w żywą dyskusję młodych o Kościele i z Kościołem, który pielgrzymuje. Mamy głęboką nadzieję, że zanurzając się w śmierć Chrystusa, nie zaznamy śmierci duchowej, od której On wyzwala.



Z modlitwą +
Bartłomiej J. Wojnarowski
Redaktor Naczelny miesięcznika Adeste



źródło:unsplash.com

Śmierć za życia



Olga Wachowiec

Pewnie wielu z was chociaż raz słyszało nazwy takich zespołów, jak Luxtorpeda czy Maleo Reggae Rockers. Niezależnie jednak od tego, jak jest, chciałabym podzielić się z wami dwoma krótkimi cytatami z piosenek tych artystów. Pierwszy pochodzi z kawałka Luxów, o tytule, w którym treść tego cytatu jest zawarta jako skrót. Mowa tu o JUZUTNUKU – „Jeśli umrę, zanim umrę, to nie umrę, kiedy umrę”. Drugi fragment pochodzi z utworu Samobójstwa. Darek Malejonek śpiewa: „Umrzyj dla świata, by narodzić się na nowo bez defektu”.

Czy z dogłębną świadomością mogę powiedzieć, że rozumiem te dwa cytaty? Nie. Czy podjęłam próbę ich zrozumienia? Tak. A czy od tego momentu coś się zmieniło? Niewiele. I choć z chęcią nakreślę wam moje spojrzenie na te oba cytaty, chciałabym, byście wiedzieli, że ani ze mnie jakiś wielki profesor,

ani znawca (nie wspominając już o tym, że ani alfą, ani omegą nie jestem)

W te wakacje na ostatnią chwilę trafił mi się „student job”, jak ślepej kurze ziarno. Jako że status studentki to w moim wypadku status średnio-przeciętnie-niezamożnej osoby – wybrzydzenia i marudzenia

nie było, więc trafiłam na stanowisko osoby sprzątajacej w jednym z bardziej rozpoznawalnych budynków w Europie. Z początkowych planów pracy przez cały miesiąc finalnie po 2 tygodniach, z powodu studiów, z tej formy zarobku musiałam zrezygnować. Pracowałam więc tam w sumie tylko 45 godzin. Od



źródło:unsplash.com

7:00 do 12:00 z przerwą półgodziną na śniadanie. Przez 10 dni, z myślą o przyszłej wypłacie i o nadchodzącym piątku, zwlekałam się z łóżka po 5:00, co było dla mnie nie lada poświęceniem. I przez właśnie czas tych 2700 minut, które spędziłam na wycieraniu kurzy, odkurzaniu i czyszczeniu różnych, mniej lub bardziej publicznych miejsc, mój świat wywrócił się do góry nogami.

Śmierć z wyżej wymienionych kawałków, w mojej interpretacji, jest obumarciem lub wyrzeknięciem się wartości tego świata na rzecz życia po śmierci. To pozbycie się, na przekór czasem logice i zdrowemu rozsądkowi, swojego miejsca w wyścigu szczurów, żeby nie żyć według zasady „po trupach do

celu”. Dlaczego takie zachowanie porównywane jest do samobójstwa? Otóż przyjęcie reguł, które często już wypadły z zakładek „trendy”, i ich przestrzeganie do najłatwiejszych nie należy. To często wiele wyrzeczeń i poświęceń, które dla świata przestały być modne. Jednak w tym wszystkim nie można zapominać o tym, że ludzkie życie tu, na ziemi, ma swój finał – więc jeśli tutaj zdecydujemy się wziąć na plecy nasz Krzyż, pozorna porażka z momentem śmierci zamienia się w największy sukces. Śmierć staje się życiem.

Mnie natomiast w tej pracy spotkał kompletnie inny wymiar śmierci. Jej rekordem było 26 lat rutyny otoczonej znudzeniem i poddaniem się. Często ponad połowa życia spędzona na do-

browolnym i bezsensownym akcie poświęcenia. I moi drodzy! Żeby nie było, że nie szanuję pracy osób tam znajdujących się, bo niezaprzeczalnie jest ona zarówno ciężka, jak i potrzebna! Ale 45 godzin przesiąkniętych narzekaniem, zgorzknieniem i ogólnie przyjętym niesmakiem w stosunku do współpracowników dało mi do myślenia. Twarz w twarz spotkałam się z osobami, które dawno już porzuciły nadzieję na szczęście, chęci życia czy radość... Spotkałam się z osobami, które już umarły.

I choć nadal tkwi we mnie zarówno podziw do cierpliwości, jak i do pokory – bo bez tego w tej pracy ciężko – gdzieś w kącie mojego serca zataił się też smutek. Życie stało się oczekiwaniem na piątek, na urlop, na święta... A droga z Jezusem, choć łatwą nie jest (mówimy tu o wzięciu Krzyża na swoje ramiona), nie jest też drogą osób wypranych z radości. Mówi się nawet, że z twarzą jak cmentarz świata się nie zbawi! Więc wbrew pozorom w nielekkiem Krzyżu nie chodzi o śmierć, ale o jego finał – zmartwychwstanie. Ile ludzi, tyle historii i nietuzinkowych sytuacji. Różne problemy wymagają wachlarzu przeróżnych rozwiązań. Tyle że często plany B, na odkucie się, na chwilę, na rok, zamieniają się w coś trwającego o wiele dłużej, niż zakładaliśmy. W końcu



źródło:unsplash.com

niezaprzeczalnie łatwiej jest pozostać w mniej lub bardziej wymuszonym gniazdku wróbelka, choć rozmiarowo dziuplą dzięcioła czy domem bociana by się nie pogodziło.

Brak wiary w siebie? Lenistwo? Przyzwyczajenie albo rutyna? Czy ignorancja i akceptacja rzeczywistości beznadziejnej, mimo możliwości jej zmiany? Nie chcę oceniać ani tych ludzi,

ani ich wyborów. Tym bardziej, że taplając się w moim małym smuteczku, myślę o pani Menie (pani Marii Filomenie, w gwoli ścisłości, ale Maria to imię zbyt popularne, by być tak nazywanym, a Filomena jest zbyt długim słowem). To kompletnie inny przypadek. Ponad 20 lat pracy. I niegasnący uśmiech. Ta kobieta знаła WSZYSTKICH ludzi, u których sprzątała (mó-

wimy tu o liczbach rzędu dziesiątek, a może i nawet setek). Co więcej, znała ich rodziny, dzieci z imienia, miejsca poprzednich wakacji i plany na przyszłość. Codziennie potrafiła podzielić się też dobrym słowem, uśmiechem, serdecznością.

Ponad 20 lat pracy w tym samym miejscu. Często większa część życia spędzona na rutynie. I tyle możliwości! Nie musimy być milionerami za biurkami ze złota, by być szczęśliwymi. Nie musimy podążać śladami wyznaczanymi przez modę, czas i chwilę. Nie musimy też poddawać się w naszych życiach, bo sytuacje dzisiaj nie do przejścia za tydzień mogą okazać się błahostkami, które przeskoczymy z niezwykłą lekkością. Żeby jednak skakać, trzeba żyć. I umieć rozdzielić te rodzaje śmierci, które zakończą się sukcesem, od tych, które nie wnosząc nic, wyciskają z nas ostatnie soki. W końcu św. Staś Kostka nie na darmo jako swoją maksymę życiową przyjął słowa: „Do wyższych rzeczy jestem stworzony i dla nich winienem żyć”.

*Spodobał Ci się ten tekst?
Masz własne zdanie?
Chesz o coś zapytać?*

Myśl, cierpienie, sens

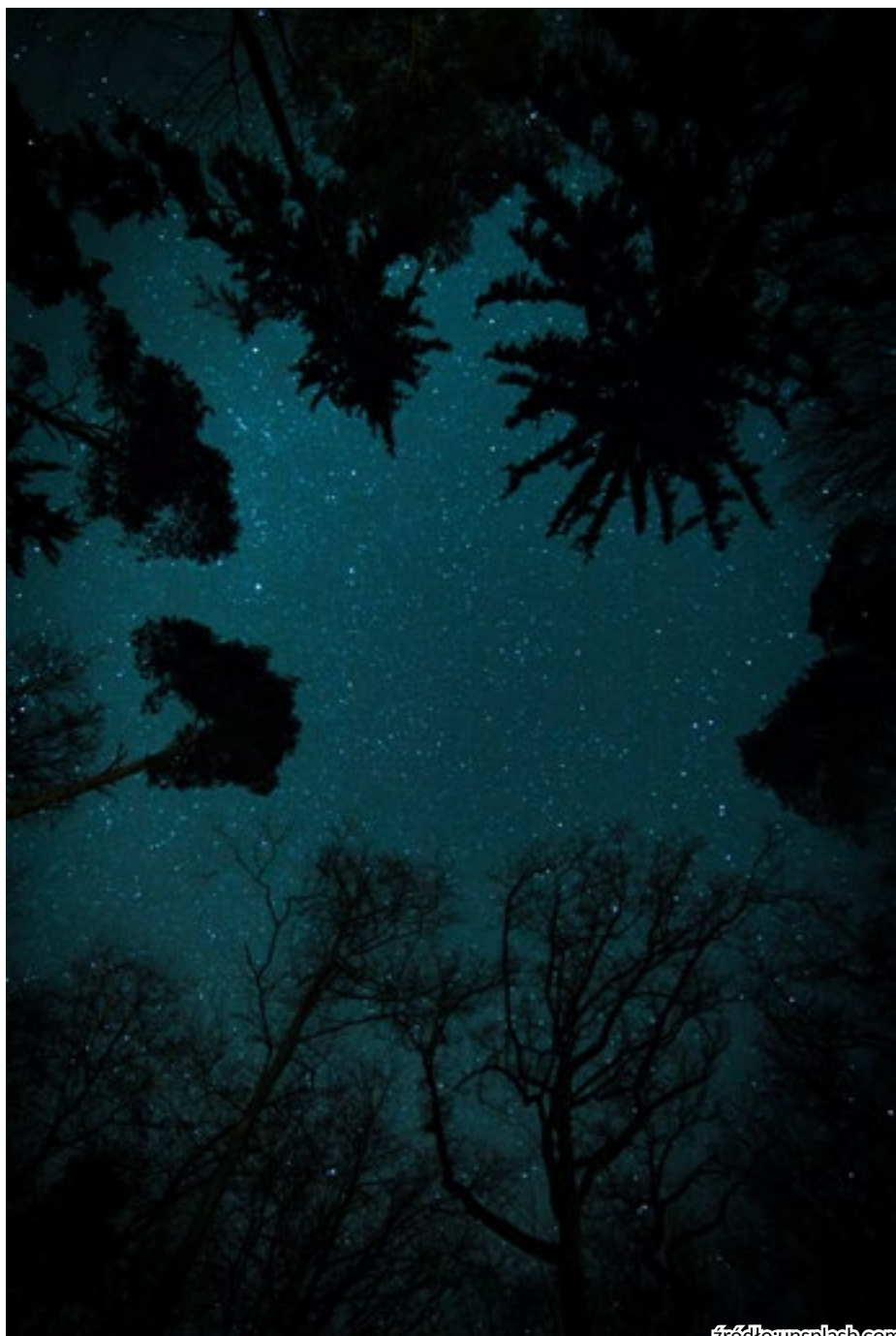


Patryk Kępczyński

Człowiek staje wobec wielkich pytań, które nie zawsze może zrozumieć. Dotyka swoim skończonym rozumem nieskończonego Boga. Warto, aby przybliżył się do niezrozumiałego, by w świetle refleksji niezrozumiałe stało się zrozumiałe.

Dopada mnie myśl, czy nie jestem tylko pyłkiem, czymś nieliczącym się – z kosmosu wzięty, by kosmosowi zostać oddanym. To właśnie wtedy nabierają znaczenia słowa z Księgi Rodzaju: „Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz”. Gdy patrzę w gwieździste niebo, lękam się; widzę ten ogrom, a moja wyobraźnia widzi jeszcze większy ogrom, tuż za ogromem pierwszym. Pascal, być może patrząc w niebo, powiedział: „Wiekuista cisza tych nieskończonych przestrzeni przeraża mnie”. O, tak! Mnie też przeraża. Tak! Przeraża mnie to.

Po co to wszystko? Po co tu jestem? Za Leibnizem: „Dlaczego istnieje raczej coś niż nic?”. Tak wiele pytań. Pytań bez odpowiedzi. To właśnie te pytania czynią ze mnie człowieka. Kogoś, kto potrafi przeżywać



źródło:unsplash.com

refleksje. To mnie odróżnia od zwierząt. Paweł VI miał rację, gdy mówił, że świat cierpi na brak myśli. To cierpienie nas dobija. Ta bezrefleksyjność.

Odnaleźć Boga

Nie wierzę, że ludzie przez lata nie zadają sobie tak ważnych pytań. Z drżeniem i niedowierzaniem jednak przypatruję

się temu. Przecież Pascal również miał rację, pisząc: „Myśl stanowi wielkość człowieka”. Jeżeli więc ktoś nie myśli, to czy jest jeszcze człowiekiem? Co znaczy myśleć? Czy tylko być samoświadomym siebie? Może jednak myśleć to zadawać sobie ważne pytania?

Tak wiele nie rozumiem. Tak wiele spraw wykracza poza moje rozumowanie. Przede



źródło:unsplash.com

wszystkim Bóg poza nie wykracza. Nie tylko On jednak, również sama natura świata. Ciągle powtarzam: „nie wiem, nie wiem”. Czy za tym „nie wiem” kryje się Bóg? Może nie jest On wcale ukryty, a jedynie Jego blask jest tak wielki, że nie mając poznania co do prawdziwej ciemności, nie dostrzegamy Go? Widzimy jednak ciemność,

jest ona wszędzie: ból, cierpienie, smutek. Jak wtedy dostrzec Boga?

A może Boga mijamy codziennie? Czy patrzymy na Chrystusa nieustannie? O, tak! Dziś widziałem Boga! Mijałem Chrystusa wiele razy. Był on w bezdomnych, chorych, samotnych, porzuconych, niekochanych. Jest w każdym z nas. Widziałem

Go tak wiele razy, a mijałem Go bezrefleksyjnie. Co noc wołałem: „Szukam, Panie, Twojego oblicza”, nie dostrzegając, że znalazłem je już dawno temu. Może to jest klucz do szczęścia? Zrozumieć, że Bóg jest w każdym z nas. Przyjąć, że każdy jest dziedzicem Królestwa Bożego.

Sens

Wierząc w Boga, wierzymy nie tylko w osobisty sens naszego życia, ale w sens globalny, który dotyczy każdego. Dotyczy ludzi i natury. Ziemi i Wszechświata. Sens odnajdujemy w danej chwili, gdy jesteśmy szczęśliwi. Jak pisze w rozprawce „O sensie życia” ojciec Bocheński: „Życie każdego człowieka ma sens wtedy i tylko wtedy, kiedy albo istnieje cel, do którego on w tej chwili dąży, albo on tej chwili używa”. Przecież często przychodzą jednak chwile bezsensu, kiedy nie dostrzegamy nadziei. Wtedy właśnie wkraczamy na pole sensu globalnego, czyli sensu, jakim jest zbawienie.

Wielu jednak nie wierzy w niebo. My czasem po prostu nie możemy przyjąć, że istnieje coś pozytywnego, kiedy prawie wszystko, co nas dotyka w życiu, ma wymiar negatywny, brutalny i bolesny. Jak tu uwierzyć, że po tym całym paśmie upadków i niepowodzeń czeka na nas jakieś abstrakcyjne niebo? Nasz



źródło:unsplash.com

umysł nie jest w stanie wszystkiego pojąć, ale czy jeśli wszystko byśmy pojmowali, to czy nie byłibyśmy bogami?

Istnieje pewna Tajemnica. Nie lubię się nią zastaniać, ale mój intelekt przekraczają pewne Prawdy, stanowiące dla człowieka Tajemnicę, którą zgłębi dopiero wtedy, gdy spotka się z Bogiem. Dlatego nawet kiedy tracisz sens chwili, możesz go szukać w globalnym sensie. Należy jednak być ostrożnym i o tym poucza ojciec Bocheński, pisząc: „Nie trzeba pogardzać małymi celami i przemijającymi chwilami życia... Nie trzeba się dać uwieść przez Jedno Jedyne,

przez Wielką Sprawę, aby umieć zadowalać się wielością małych i przelotnych zadowoleń”.

Moja zwykła historia

Ten artykuł mogę zakończyć pewną historią, która według mnie obrazuje sens życia i cierpienia. Nie, to nie historia o superbohaterach, męczennikach czy świętych. To historia o zwykłym powrocie do domu. Gdy wracałem do mojego ciepłego, wygodnego mieszkania, spotkała mnie wichura, która w połączeniu z deszczem i śniegiem, stoczyła niezły pojedynek z moim ciałem. Lodowaty wiatr

smagał moje policzki, śnieg napierał na każdą część odstoniętego ciała, a deszcz zmoczył mi ubranie. Gdy szedłem przed siebie, przysłała mi do głowy pewna myśl.

„Czy nie jest tak z naszym życiem na ziemi, że tak jak ja teraz idę do mojego domu, w mrozie, wilgoci i na wietrze, aby się ogrzać, wypić ciepłą herbatę i przytulić głowę do poduszki, tak my idziemy w trudzie do domu Boga, przez wichry, burze i błota, po to właśnie, aby ukoić duszę w Jego blasku i aby przytulić się, zasypiając w ogarniającej miłości? Kiedy pokonamy trudy i dotrzemy do upragnionego celu, może dopiero wtedy dostrzeżemy prawdziwą wartość Jego obecności”.

Życie stawia na naszej drodze wiele przeciwności, ale my wiemy, dokąd zmierzamy, a kiedy się tam znajdziemy, nie będziemy zwlekali z wejściem do naszej posiadłości, gdyż dom naszego Ojca jest naszym domem. Życie jest drogą, a to od nas zależy, jak ją przemierzmy.

Spodobał Ci się ten tekst?

Masz własne zdanie?

Chesz o coś zapytać?



źródło:unsplash.com

Noc spokojną i śmierć szczęśliwą [...], czyli o śmierci w modlitwie Kościoła



Marcei Hejwowski

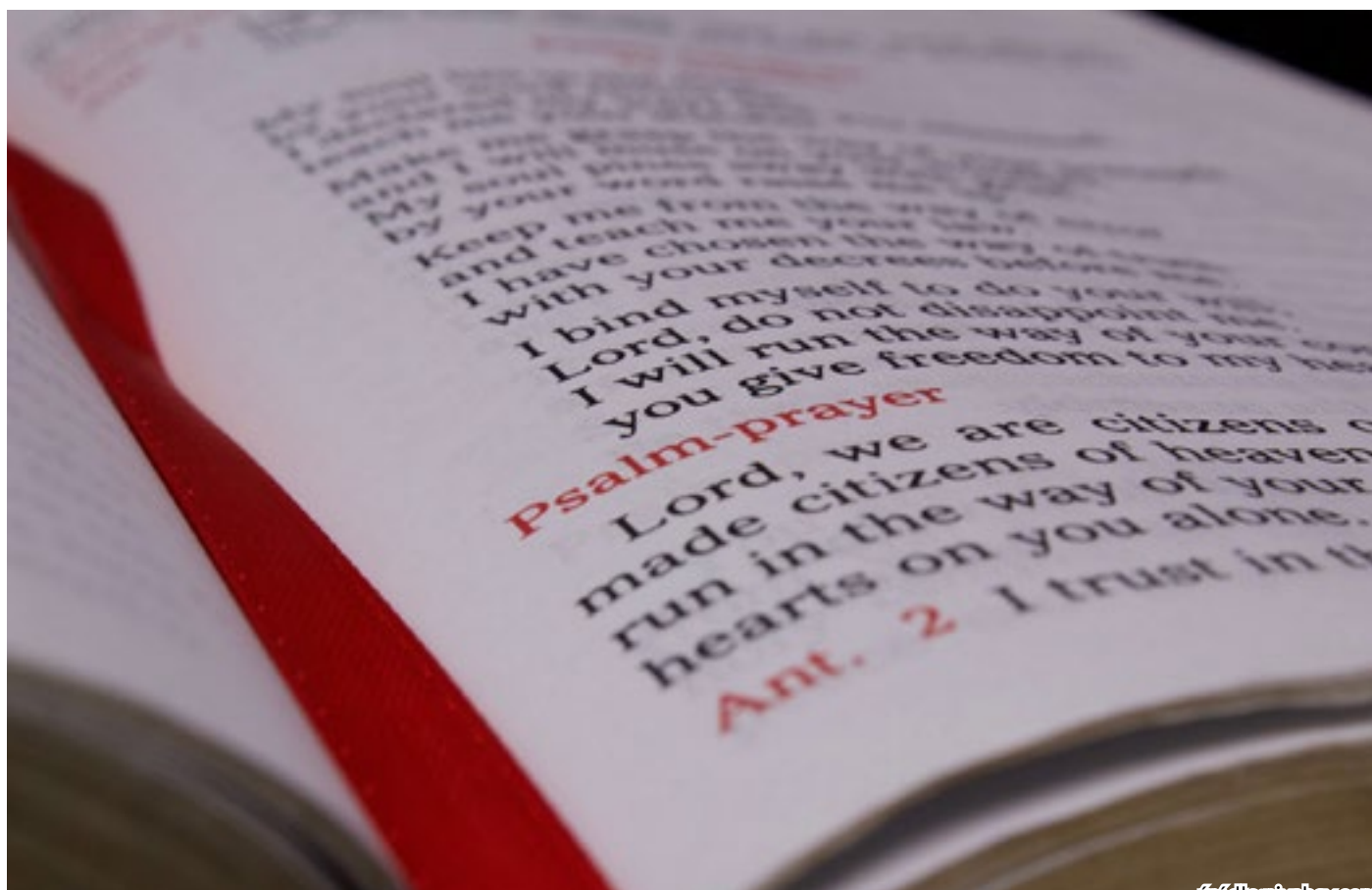
W Kanonie Rzymskim kapłan modli się: „Pamiętaj Boże, o swoich sługach i służebnicach... którzy przed nami odeszli ze znakiem wiary i śpią w pokoju”. Sen i śmierć często występują w parze w liturgicznych modlitwach. Dlaczego pojawia się ten motyw w modlitwie Kościoła i jakie płyną z tego wnioski?

Śmierć przyrównana do zaśnięcia... To porównanie przywołuje szereg skojarzeń, zwyczaj zamykania oczu umarłym, ułożenia w trumnie, przedstawianie umarłych jako leżących na łożu, frazeologizm na łożu śmierci... A także sformułowania w modlitwach. Dlaczego? Na początek oddajmy głos Liturgii Godzin.

Kompleta

W modlitwie na zakończenie dnia po standardowym wersecie początkowym „Boże wejrzyj ku wspomnieniu memu” i rachunku sumienia odmawia się jeden z hymnów. Każdy z nich nawiązuje do stanu, w którym człowiek po odmówieniu końcowej modlitwy dnia ma się znaleźć,

to jest do snu. „Niech serca nawet uśpione/ Przez sen czują przy Tobie/ a kiedy zbudzi je zorza/ Niech Ciebie wielbią z weselem” brzmi fragment jednego z nich. W innym, być może najbardziej znanym, zaczyna się strofą „Wszystkie nasze dzienne sprawy/ Przyjm litośnie, Boże prawy,/ A gdy będziem zasypiali/ Niech Cię nawet sen nasz



źródło: pixabay.com

chwali”. Jednakże hymnem, jeśli można tak rzec, „najmocniejszym” jest ten docelowo przeznaczony na IV tydzień psalterza: „Serca napełnij pokojem i ciszą,/ Najlepszy Ojcze./ Bądź przy nas także w ostatniej godzinie,/ Gdy kształty rzeczy zacierać się poczną;/ Pochwyć za rękę i wprowadź do domu/ wiecznego trwania”. Psalmodia (a zwłaszcza psalm z piątku) i czytania również nawiązują do śmierci, choć nie każdego dnia. Kulminacją całej komplety jest pochodząca z drugiego rozdziału Ewangelii według św. Łukasza pieśń Symeona: „Teraz, O Panie, pozwól odejść swemu słudze w pokoju [...]”. Błogosławieństwo na końcu przywołuje naraz śmierć i sen: „Noc spokoj-

na i śmierć szczęśliwą niech nam da Bóg Wszechmogący: Ojciec i Syn, i Duch Święty. Amen”.

Chrześcijański masochizm?

Narzuca się pytanie, jaki jest cel przywoływania momentu końca życia, o którym myślenie sprawia większości ludzi dyskomfort i niepokój, w czasie, w którym należałoby się wyciszyć i uspokoić, aby spokojnie zasnąć. Czemu przypomina się o tej prawdzie tak ściśle związanej z ludzką egzystencją? Dlaczego zwłaszcza w tym momencie?

Udzielając odpowiedzi, posłużę się urywkiem z jednego hymnu jutrzni, porannej modlitwy. „Niech cały dzień tak

upłynie,/ By kłamstwa język nie głosił;/ Niech nasze ręce, spojrzenia/ I całe ciało nie grzeszą./ Bo Ten, co patrzy z wysoka,/ Spogląda w każdej godzinie/ I widzi nasze uczynki/ Od świtu aż do wieczora”. Dla Kościoła od wieków, odkąd wyszedł z mroku katakumb, czasem działania, czasem służby Bożej był dzień. Dla większości ludzi czasem aktywności jest dzień. Dlatego dzień utożsamiany jest z życiem. Warto zauważyć, że już starożytni Grecy w micie o Edypie i Sfinksie zawarli takie porównanie („Co to za zwierzę, które rano chodzi na czterech nogach, w południe na dwóch, a wieczorem na trzech?” zapytał Sfinks, a Edyp odpowiedział „Człowiek, bo człowiek w dzieciństwie racz-

kuje, w wieku dorosłym chodzi na dwóch nogach, a w swej starości podpira się laską”).

Śmierć podobna do snu

Wiele można napisać o duchowości dnia, o uświęcaniu jego poszczególnych pór, jest to bowiem rozległy temat, wróćmy jednakże do nocy i snu.

„Rano myśl, że nie dożyjesz wieczora; a gdy nadejdzie wieczór, nie śmiej obiecywać sobie następnego poranka” radzi domniemany autor O naśladowaniu Chrystusa, Tomasz à Kempis. W drugiej części tej maksymy wskazuje na istotną prawdę – nigdy nie wiemy, co przyniesie sen i czy w ogóle zbudzimy się jeszcze raz. „I keep on wondering if I sleep too long/ Will I even wake up again or something” jak tę niepewność wyraził w piosence Sitting rockman Cat Stevens. Trudność stwierdzenia, co będzie po zaśnięciu, podobna jest do odwiecznej chyba bolączki ludzi myślących o końcu życia. „Gdyby obawa czegoś poza grobem,/ Obawa tego obcego nam kraju,/ nie wątpliwa woli” żali się Hamlet.

Nas jednak nie powinien napawać strachem „ten obcy kraj”. Nie powinniśmy się bać, o ile zachowywać będziemy zasadę z czwartego rozdziału listu św. Pawła do Efezjan (również obecną w komplecie): „Nie grzeszcie:

niech nad waszym gniewem nie zachodzi słońce!”. Czyli, mówiąc prościej: nie udawajcie się na spoczynek, nie kończcie dnia, zanim się z niego nie rozliczycie.

Duchowość śmierci

„Czuwajcie więc [...] albowiem w godzinie, której się nie domyślacie, Syn Człowieczy przyjdzie”(Mt 24,42.44). W tym poleceniu Chrystusa nie chodzi o odmawianie sobie snu, ale o czuwanie serca. Chrześcijanin powinien żyć tak, aby być zawsze gotowym na śmierć. Na tym polega duchowy stan czuwania.

Przyjrzyjmy się raz jeszcze komplecie. Nieprzypadkowo na jej początku przewidziany jest rachunek sumienia. Jest moment, w którym można podziękować dobremu Bogu za otrzymane łaski, zastanowić się, co sprawiedliwego i miłosiernego się udało uczynić i przeprosić za swoje winy. Jest to moment sporządzania raportu o stanie swej duszy. Dziękczynienie za dobrodziejstwa i szczerzy żal za popełnione grzechy, obrażające dobroć Boga, mogą sprawić, że nawet śmiertelne grzechy zostaną zgładzone i dusza śpiącego człowieka będzie w komunii z Bogiem. Innym znamienym momentem modlitwy na zakończenie dnia jest pieśń Symeona, której duchowe znaczenie jest

takie: ujrzałem dziś Twoje zbawienie, więc teraz pozwól odejść mi w pokoju na spoczynek; jeśli taka Twoja wola, to i spoczynek wieczny.

Drugą rzeczą, którą katolik powinien z tego wywnioskować, to dbałość o spowiedź. Normalną rzeczą dla wierzącego winna być konsekwencja – jak się zgrzeszyło ciężko, to trzeba bez ociągania się iść do spowiedzi. Korzystanie z tego sakramentu, kiedy tylko jest potrzeba, codzienny rachunek sumienia i częste, pobożne przyjmowanie Komunii Świętej – to dobra oznaka oczekiwania na przyjście Oblubieńca.

Trzecia myśl – żyć tak, jakby jutra miało nie być. Nie jest to zachęta do hedonizmu rodem z Ostatniej nocy Tedeo, ale zachęta do dobrego wykorzystania czasu. Niech żadna chwila nie będzie zmarnowana.

Dwa razy semper

Nie będąc harcerzem, miałem kilka razy okazję uczestniczyć w skautowskich apelach. Zawsze uderzało mnie hasło Semper parati!, oznaczające mniej więcej to, co polskie „czuwal!”; jednocześnie podkreślające, że czuwać trzeba zawsze. Harcerze mają formację o tyle specyficzną, że potrafią codziennie, do znudzenia powtarzać te same hasła, te same



źródło:unsplash.com

zasady. Na pamięć. Spotykając się, salutują sobie i mówią „czuwaj!”. Jest to bardzo ewangeliczne, to wezwanie do czuwania. Na obozie harcerskim czuwać należy, aby nie zostać zaskoczonym przez obcych ludzi, dzikie zwierzęta czy złe warunki atmosferyczne. W życiu czuwać należy, by nie stracić łaski uświęcającej na zbyt długo. Aby nie przepuścić czasu zbawienia, który jest teraz.

Drugim, podobnym hasłem, jest *semper talis*, czyli „zawsze taki sam”. To hasło niemieckiego *Wachtbataillonu* może być zachętą, aby wobec przeciwności losu pozostać stałym, wiernym wierze. Tak jak żołnierz nie może mieć „gorszego dnia”, bo zginie,

tak sługa Chrystusa nie może sobie pozwolić na odpoczynek od czynienia dobra. Powinien każdego dnia czynić dobro.

Podsumowanie

Każdego rana poświęcać dzień Bogu, a każdego wieczora się z niego rozliczać – oto zasada wynikająca z Liturgii Godzin. Przygotowywać się do snu jak do śmierci. Dbać o czystość sumienia. Dobrze wykorzystywać czas. Te kroki sprawiają, że człowiek, który pamięta, że „w Nim zabłyśta dla nas nadzieja zmartwychwstania”, nie będzie bał się śmierci.

Św. Dominik Savio zapytany, co by zrobił, gdyby „dziś

miął być koniec świata”, miał odpowiedzieć, że zrobiłby to, co i tak zamierzał uczynić. Takiej właśnie gotowości na przyjście Pana każdy katolik powinien sobie życzyć i pracować nad nią. Módlmy się też o dobrą śmierć, śmierć podobną do spokojnego zaśnięcia. Prośmy Maryję, aby modliła się w „godzinę śmierci naszej”.

Spodobał Ci się ten tekst?

Masz własne zdanie?

Chesz o coś zapytać?



źródło: pixabay.com

Śmierć w nauczaniu Soboru Watykańskiego II



Piotr Bogdanowicz

Uroczystość Wszystkich Świętych oraz Dzień Zaduszny, zwany też Świętem Zmarłych, w sposób naturalny kierują nasze myśli nie tylko ku tym, którzy odeszli, lecz także w stronę śmierci, która czeka nas samych. Każdy dzień życia zwykle jest tak bogaty w doświadczenia i spotkania, że zupełnie pomijamy ten aspekt naszego istnienia. Aspekt ważny i decydujący; aspekt, na który nie mieliśmy i nie będziemy mieć nigdy żadnego wpływu, podobnie jak w przypadku poczęcia i narodzin. Warto zatem przyjrzeć się śmierci z perspektywy współczesnej teologii, a szczególnie z punktu widzenia Soboru Watykańskiego II, który wskazał Kościołowi kierunki w sposobie patrzenia na ten akt graniczny ludzkiego życia.

Szukając sensu

Nie ma chyba na świecie człowieka, który widząc otaczający go świat, nie zada sobie choć raz tych kluczowych pytań egzystencjalnych, które od ty-

sięcy lat nurtują wielkich myślicieli. Wydawać by się mogło, że tak szybko postępujące wyjaławienie duchowe przestrzeni społecznej i kulturalnej, w której funkcjonujemy, jest skutkiem tego samego rodzaju wyjałowienia konkretnych osób. W rzeczy-

wistości jednak świadczy raczej o tym, że dotychczasowe formy przekazu, język i udzielane odpowiedzi tracą powoli moc przekonywania. Ludzi cechuje coraz większa krytyczność (która niewłaściwie pokierowana może przekształcić się w zatwardzia-

łość), dzięki której z dużą wnikliwością potrafią doszukiwać się odpowiedzi na fundamentalne pytania.

Widzieli to bardzo wyraźnie Ojcowie Soborowi, którzy napisali: „Ludzie oczekują od różnych religii odpowiedzi na głębokie tajemnice ludzkiej egzystencji, które jak niegdyś, tak i teraz do głębi poruszają ludzkie serca; czym jest człowiek, jaki jest sens i cel naszego życia, co jest dobrem, a co grzechem, jakie jest źródło i jaki cel cierpienia, na jakiej drodze można osiągnąć prawdziwą szczęśliwość, czym jest śmierć, sąd i wymiar sprawiedliwości po śmierci, czym wreszcie jest owa ostateczna i niewysłowiona tajemnica, ogarniająca nasz byt, z której bierzemy początek i ku której dążymy” (DRN 1)^[1]. „Jaki jest sens cierpienia, zła, śmierci, które istnieją nadal, choć dokonał się tak wielki postęp. Na cóż te zwycięstwa tak wielką okupione ceną; co może człowiek dać społeczeństwu, a czego się od niego spodziewać; co nastąpi po tym życiu ziemskim?” (KDK 10)^[2].

Śmierć a tajemnica ludzkiego losu

Śmierć ma charakter absolutny, dotyka całego człowieka w najgłębszym jego wymiarze. Choć wydaje się ona naturalną konsekwencją życia, to jednak instynktownie tkwi w nas jakiś bunt wobec tej bezlitosnej siły, która nie pozwala żyć dłużej. Stąd, paradoksalnie, dla człowieka śmierć nigdy do końca nie będzie czymś naturalnym, gdyż nosi on w sobie ziarno życia i powołanie do nieśmiertelności. „Tajemnica losu ludzkiego ujawnia się najbardziej w obliczu śmierci. Nie tylko boleści i postępujący rozkład ciała dręczą człowieka, lecz także, i to jeszcze bardziej, lęk przed unicestwieniem na zawsze. Instynktem swego serca słusznie osądza sprawę, jeśli wzdryga się przed całkowitą zagładą i ostatecznym końcem swojej osoby i myśl o tym odrzuca. Zaród wieczności, który w sobie nosi jako niesprowadzalny do samej tylko materii, buntuje się przeciw śmierci. Wszystkie wysiłki techniki, choć bardzo użyteczne, nie mogą uspokoić tego lęku; biologicznie bowiem przedłużenie życia nie zdoła zaspokoić pragnienia życia dalszego, pragnienia, które nieusuwalnie przebywa w sercu człowieka” (KDK 18).

Poprzez radykalność śmierci, jej samotność i ciszę człowiek ostatecznie wraca do samego siebie, do tego, kim naprawdę jest. A skoro jest ona również przejściem, to razem z całą swoją historią wychodzi z przemijalności, by wejść w wieczne teraz, w którym spotyka Tego, który powołuje.

Bardzo interesującą kwestią jest spojrzenie na śmierć w kontekście pokoju na świecie. Ojcowie Soborowi w Konstytucji duszpasterskiej o Kościele w świecie współczesnym „Gaudium et spes” stwierdzają, że nie wolno lekceważyć i porzucać pamięci o dawnych dziejach i ich przerażających okresach. Nie można ich ignorować, oddając się fałszywej nadziei, która utrzymuje, że osiągnięty został już taki postęp i poziom rozwoju społecznego, iż nieemożliwym wydaje się wejście na drogę otwartego konfliktu. Bez trwałości umów pokojowych, opartych na uczciwości i szczerości, ludzkość „popychana dalej zbrodniczą ręką może doczekać się godziny, w której nie będzie już jej dane zaznać innego pokoju, jak tylko przerażającego pokoju śmierci” (KDK 82).

Ów „przerażający pokój śmierci” – można śmiało stwier-

[1] Deklaracja o stosunku Kościoła do religii niechrześcijańskich „Nostra aetate”.

[2] Konstytucja duszpasterska o Kościele w świecie współczesnym „Gaudium et spes”.



źródło:unsplash.com

dzić – dotyczy nie tylko życia międzynarodowego, lecz także relacji międzyludzkich oraz życia wewnętrznego. Pokój wyraża się bowiem nie tylko w rzeczywistości międzypaństwowej, lecz także lokalnej, w społecznościach i rodzinach oraz we wnętrzu każdego ludzkiego serca. Dążenie do pokoju i poszukiwanie go jest zatem zadaniem wszystkich bez wyjątku... w przeciwnym wypadku śmierć pogodzi wszystkich na swój własny sposób.

Zwycięstwo nad śmiercią

Nie leży ono w naszej mocy, ale jesteśmy do tego zwycięstwa, do udziału w nim zaproszeni. Choć bowiem „przemija postać tego świata” (1 Kor 7,31), to wiemy, że Bóg ma dla nas „mieszkań wiele” (J 14,2). Jezus,

jedyny Syn Boga Żywego, „rojaśnia nam zagadkę cierpienia i śmierci, która przygniata nas bez Jego Ewangelii. Chrystus zmartwychwstał, zwyciężając śmierć swoją śmiercią i obdarzył nas życiem, byśmy jako synowie w Synu wołali w Duchu: Abba, Ojczy!” (KDK 22). To chrzest święty zanurza nas w śmierci Chrystusa, dzięki czemu mamy udział w Jego zmartwychwstaniu. Stąd też i tylko stąd płynie nasza nadzieja. Nie jesteśmy zostawieni samym sobie – ciężar cierpienia i śmierci, choć pozbawiony sam w sobie sensu, dzięki Jezusowi stać się może narzędziem zbawienia naszego oraz innych dzięki świętym obcowaniu.

Jako ludzie nadziei chrześcijanie winni zatem wyróżniać się nie tylko swoim stosunkiem do drugiego człowieka, lecz także

do śmierci. Jak powinno się to przejawiać na poziomie wspólnoty, podpowiada Konstytucja o liturgii: „Obrzęd pogrzebowy powinien jaśniej wyrażać paschalny charakter śmierci chrześcijanina i lepiej odpowiadać warunkom i tradycjom poszczególnych regionów, również co do barwy liturgicznej” (KL 81)^[3]. Wydaje się, że wciąż jest tu bardzo wiele do zrobienia. Zbyt często celebracje pogrzebowe wciąż przypominają uroczystości pełne rozpacz lub co najwyżej smutnej obojętności.

Nadzieja życia wiecznego, będąca konsekwencją żywej wiary płynącej ze spotkania z żywym Bogiem, zniknęła dawno z nauczania parafialnego – osobiście nie pamiętam kazania, które dotykałoby kwestii nadziei. Nie można zatem dziwić się, że ta nadzieja zniknęła również z życia ludzkiego. Brak nadziei jest brakiem wiary, a z powodu jej braku bardzo łatwo jest wpaść w objęcia rozpacz, a później nawet nienawiści, która przekreśla miłość.

Spodobał Ci się ten tekst?

Masz własne zdanie?

Chesz o coś zapytać?

[3] Konstytucja o liturgii świętej „Sacrosanctum concilium”.



źródło: pixabay.com

Żałoba po chrześcijańsku



Jan Borowski

Wskrzeszenie umarłych to absolutna podstawa wiary chrześcijańskiej, fundament całej Chrystusowej nauki. Od zmartwychwstania Jezusa śmierć jawi się już nie jako wydarzenie tragiczne, lecz jako moment, w którym dusza może całkowicie zjednoczyć się z Bogiem. Emocje po śmierci bliskiej osoby bywają jednak zupełnie nieadekwatne do wiary, a wręcz zdają się jej przeczyć. Z jednej strony nadzieja na wieczne życie, z drugiej rozpacz spowodowana stratą. Czy w życiu chrześcijanina brak miejsca na żałobę?

Chrześcijański optymizm wobec śmierci czasem zderza się z bolesną dla każdego sytuacją straty bliskiej osoby. W pierwszych chwilach niepokój, dezorientacja i niedowierzanie, u innych zupełny brak emocji, a następnie długi proces godzenia się ze śmiercią. Zdecydowanie nie jest to czas rado-

ści i dziękczynienia składanego Bogu. Pojawiają się widoczne zmiany stanów emocjonalnych, zachowania. Stanięcie w obliczu śmierci skłania do przemyśleń i rewizji dotychczasowego życia. Zdarza się, że ból po stracie bliskich ma nawet symptomy fizyczne: 14 procent osób przeżywających żałobę przyznaje,

że czują się fizycznie chorymi, 9 procent skarży się na bóle w miejscach, które bolały kiedyś zmarłych. Powszechne są zaburzenia snu, apetytu, trawienia i ogólny brak energii.

Z katolickiego punktu widzenia, zwłaszcza jeśli zmarły miał bliską relację z Bogiem i zdążył przed śmiercią przy-

jąć Wiatyk, nie powinniśmy się wcale obawiać o jego duszę. Nie ma, co prawda, w tym względzie pewności (przypadki świętych kanonizowanych drogą oficjalną stanowią tu wyjątek), ale zawsze warto mieć nadzieję, ufając w Boże miłosierdzie. Wiemy przecież, że Bóg postąpi z nim najlepiej jak to możliwe, ponieważ nie chce wiecznego zatracenia grzesznika (por. Ez 33,11). „Im większy grzesznik, tym ma większe prawa do miłosierdzia Mojego (pkt. 723)” – zanotowała św. Faustyna w swoim Dzienniczku. Dlaczego więc reakcja emocjonalna bywa krańcowo inna?

Przeciwko żałobie

Już nie raz, idąc tym tokiem rozumowania, wierzący konkludowali, że żałoba jest rzeczą niegodną chrześcijanina. Przykładowo u św. Jana Chryzostoma, w 31. homilii na Ewangelię Mateusza, czytamy: „Bóg nazywa to dobrodziejstwem, a ty pograżasz się w smutku? [...] Jeżeli należy się smucić, to diabeł powinien to czynić. On niech żałuje, niech narzeka, że idziemy ku większym dobrom. Takie narzekanie jest godne jego złości, nie Ciebie, który masz znaleźć odpoczynek i dostąpić korony. [...] Jeżeli umarł w grzechach, to został położony kres jego nieprawościom, bo Bóg nie zabierałby go



źródło: pixabay.com

przed czasem, gdyby widział, że się nawraca. Jeśli zaś umarł, będąc sprawiedliwym, wtedy bezpiecznie posiada swe dobra.”

Przedstawiony punkt widzenia nie jest błędny – wręcz przeciwnie, bardzo dobrze ujmuje katolicką naukę i jej spojrzenie na kwestię śmierci. Problem stanowi w tym miejscu sprowadzenie ludzkiej rzeczywistości wyłącznie do sfery intelektualnej. Człowiek jest jednak zaskakującą istotą, która przeżywa świat na dwóch (połączonych, lecz oddzielnych) płaszczyznach. Oprócz tego, że myśli, również odczuwa – gdy u kogoś jedna z tych sfer zawodzi, osoba ta staje się w pewnym sensie inwalidą. Uświadomienie i wytłumaczenie sobie danego faktu nie oznacza automatycz-

nie jego akceptacji emocjonalnej – i na odwrót – zdarza się odczuwać emocje, nie potrafiąc ich nazwać ani rozumowo wyjaśnić ich pochodzenia.

O różnicy między intelektem a odczuwaniem

Uczucia tłumione po pewnym czasie wracają i zwykle czynią to ze zdwojoną siłą. Nie możliwe jest bowiem zakazanie sobie odczuwania jakiegoś stanu. Nie można udawać przed samym sobą, że nie odczuwa się zupełnie nic, podczas gdy wewnątrz komunikuje coś zupełnie innego. Trzeba wiedzieć, że jedynym zdrowym podejściem do emocji jest ich akceptacja. Nie ma bowiem emocji dobrych i złych, grzesznych ani świętobli-

wych – istnieją jedynie emocje trudne i przyjemne.

To bardzo ważne w życiu duchowym, aby uświadomić sobie, że emocje nie podlegają ocenie moralnej. Nie można zgrzeszyć poprzez odczuwanie czegoś, chociażby poprzez odczuwanie popędu seksualnego lub gniewu. O winie i grzechu można mówić od momentu, gdy do akcji wkracza wola – gdy podejmuje my konkretną decyzję i uczucie przeradza się w czyn bądź myśl. Co za tym idzie, w radzeniu sobie z trudnymi emocjami – na przykład takimi, jak te towarzyszące śmierci bliskiej osoby – podstawą jest ich akceptacja, czyli wypłakanie się, rozmowa z kimś zaufanym, danie sobie czasu. Właśnie takie możliwości daje okres nazywany żałobą. Nie jest to idea stworzona dla idei, ale wyjątkowo ważny czas służący spokojnemu pogodzeniu się z odejściem bliskiej osoby i ułożeniu swoich emocji.

Między normalnością a patologią

Zdarza się również, że emocje całkowicie przejmują kontrolę nad osamotnioną osobą i tak zwana granica normalności zostaje przekroczona. Rozróżnienie bywa trudne, gdyż nawet zdrowa żałoba miewa cechy wspólne chociażby z depresją. W takich wypadkach warto roz-

ważyć skorzystanie z fachowej pomocy psychologicznej. W Polsce działa fundacja „Nagle sami”, zajmująca się pomocą w przeżyciu traumy po stracie bliskich. Na jej stronie internetowej znaleźć można poradnik, w którym punkt po punkcie opisano, jak dobrze przeżyć czas żałoby.

Jako pomocną w dobrym przeżywaniu żałoby wymieniam się często obecność zaufanej osoby, wspomnianą już akceptację własnych stanów psychicznych oraz przyjęcie myśli o stracie. Warto też znaleźć czas na przyjemności i nie bać się okazywania radosnych uczuć.

Modlitwa

Z katolickiego punktu widzenia najważniejsza podczas żałoby jest modlitwa: po pierwsze, może pomóc zmarłemu w odpokutowaniu win w czyśćcu, a po drugie, uświęca także modlącego się, otwierając go na łaskę Bożą. Gdy zanosimy prośby za duszę zmarłego, nie wiemy, gdzie ona w danym momencie przebywa – czy już znalazła się w niebie albo pokutuje w czyśćcu, czy może w ogóle nie dostała zbawienia i cierpi męki piekielne. Tak czy inaczej, modlitwa nie jest przecież bezużyteczna, nie rozplywa się w próżni. Żywy kontakt z Bogiem nie może bowiem pozostać bezowocny – każde „Zdrowaś Maryjo”, wypo-

wiedziane w pobożnej intencji, przybliża nas do świętości.

Żałoba po chrześcijańsku

Nie istnieje żaden powód, dla którego chrześcijanie mieliby rezygnować z żałoby. Co więcej, czasem przejście przez nią jest koniecznym warunkiem zachowania zdrowia psychicznego. Emocje tłumione, którym nie pozwala się wyjść na zewnątrz, mogą z biegiem czasu zamienić się w nerwicę, depresję bądź inną chorobę. Szczególnie ważnym elementem godzenia się z odejściem bliskiej osoby powinna być również modlitwa, ponieważ dalsze losy zmarłego zależą wyłącznie od Boga, a równie mocno jak duszy zmarłego, pomaga ona temu, który się modli.

Źródła: Institute of Medicine Committee for the Study of Health, Consequences of the Stress of Bereavement; Św. Jan Chryzostom, Homilie na Ewangelię według św. Mateusza, cz. 1.

*Spodobał Ci się ten tekst?
Masz własne zdanie?
Chesz o coś zapytać?*



źródło:unsplash.com

Jak żyć po chrześcijańsku? Recepta C.S. Lewisa cz. V



Tymoteusz Pyda

Co o życiu chrześcijańskim można z twórczości Lewisa wyczytać? Niemal wszystkie jego książki mają na celu pokazanie tych zasad i wartości, jakimi winni się kierować ludzie, a w szczególności chrześcijanie, w swoim życiu. Pisarz wprost wyprowadza te normy z reguł moralnych, które zostały omówione w poprzednim rozdziale. Polem zainteresowań filozofa są: szczęście, posłuszeństwo, miłosierdzie, sprawiedliwość społeczna, codzienna praca oraz szeroko pojęte życie rodzinne (w tym małżeństwo oraz seksualność człowieka).

Życie chrześcijańskie

Pojęcia szczęścia są bardzo różnorodne, w większości zależą od tego, w jakim nurcie filozoficznym odnajduje się ten, kto stara się stworzyć definicję tej wartości. Trudno jednoznacznie stwierdzić, co na ten temat sądził Lewis, gdyż najczęściej

pisał on o szczęściu niejako przy okazji innych tematów. Można domniemywać, na podstawie zarówno jego życia prywatnego, jak i twórczości, że szczęście to dla niego życie w zgodzie i we właściwej relacji z Bogiem, której efektem jest także miłość do bliźniego, a skutkiem ubocznym świadome i racjonalne po-

dejście do spraw wiary. Warto więc zadać pytanie: czy Bóg rozumie człowiecze pragnienie szczęścia? W liście do swojego wieloletniego przyjaciela Arthura Greevesa filozof pisze tak: „Bóg nie tylko rozumie, ale wręcz podziela pragnienie stojące u źródeł moich złych skłonności: pragnienie całkowitego

i ekstatycznego szczęścia”[1]. Jednocześnie Lewis ma na swoim koncie esej noszący nazwę *Nie mamy żadnego prawa do szczęścia* [2], który w niniejszej pracy był już cytowany. Autor, odnosząc się do pojęcia szczęścia, pisze w nim, że w obecnych czasach niezwykle często jest ono utożsamiane z przyjemnością seksualną, na dodatek źle pojmowaną, ponieważ nie tylko taką, która jest jednym z filarów małżeństwa, ale generalnie jako jeden z ludzkich popędów domagający się spełnienia przy każdej możliwej okazji oraz w możliwie jak największym stopniu ekscytacji. Dlatego też pisarz jest przeciwnikiem seksu pozamałżeńskiego, masturbacji, homoseksualizmu oraz prostytucji, ponieważ są to akty skrajnie egoistyczne, służące niemal wyłącznie zadowoleniu samego siebie oraz prowadzące do zamykania się w granicach własnego »ja«. Przez to człowiek nie jest w stanie udoskonalać oraz dopełniać swojej osobowości w relacji i więzi z drugim. Taka osoba wyzbywa się odpowiedzialności, uprzedmiotawia

innych, stawia siebie w pozycji pana sytuacji oraz własnego bożka. I tutaj jest problem, bo jest to jawne przekroczenie prawa Bożego, które zakazuje oddawania czci komukolwiek innemu poza Bogiem Trójjedynym. „Filozofii spod znaku Playboya (tudzież Playgirl)”[3] trzeba przeciwstawić filozofię, która uznaje wyższe wartości, która głosi, że sensem ludzkiego życia jest coś więcej niż podstawowa, zmysłowa przyjemność. Dlatego filozof zwraca uwagę: „Jeśli nie potrafimy zostawić naszych [gwałtownych] upodobań na progu kościoła wraz z naszym pozostałym cielesnym bagażem i wpuszczamy je do środka, nie powinniśmy im folgować, lecz przynajmniej je ukorzyć, a w razie potrzeby – zmienić je”[4]. Lewis uważa, że chrześcijaństwo nie jest przeciwne naturalnemu szczęściu, ale chce je osadzić we właściwych ramach, czyli w relacji do przeznaczenia człowieka oraz całego świata natury. Bóg, według pisarza, jest swego rodzaju hedonistą, Kimś, komu najbardziej zależy na ludzkiej radości i spełnieniu się. W *Listach*

starego diabła do młodego ustami Krętacza Lewis przekazuje tę ważną prawdę: „W głębi serca Nieprzyjaciół jest hedonista. Wszystkie owe posty i nocne czuwania, stosy ofiarne i krzyże są tylko fasadą, czymś na kształt piany u wybrzeży morskich. Im dalej na głębię, im dalej w Jego Królestwo, tym więcej radości – coraz to więcej radości. On nawet nie robi z tego sekretu; u Swej prawicy ma w pogotowiu »radości wieczne«. Brrr. Nie sądzę, aby miał On najślabsze pojęcie o tej wzniosłej i surowej tajemnicy, której my dosiegamy w Cierpiętniczej Wizji. On jest wulgarny, Piołunie, o drobno-mieszcząńskiej umysłowości. Nappełnił swój świat przyjemnościami. Istnieje tyle rzeczy, które ludzie mogą wykonywać codziennie bez żadnego sprzeciwu z Jego strony – śpią, myją się, jedzą, piją, kochają się, bawią, modlą się, pracują. Każda z tych rzeczy musi być wypaczona, jeśli ma przynieść nam jaki taki pożytek. Walczymy w okrutnie niekorzystnych warunkach. Nic z natury swej nie stoi po naszej stronie”[5].

[1] C.S. Lewis, *List do Arthura Greevesa*, 12 września 1933, cyt. za: R. L. Purtill, *W obronie wiary. C.S. Lewisa argumenty na rzecz chrześcijaństwa*, tł. J. Urbaniak, Poznań 2013, str. 26.

[2] Zob. C.S. Lewis, *Nie mamy żadnego „prawa do szczęścia”*, w: Tenże, *Bóg na ławie oskarżonych*, tł. M. Mroszczak, Warszawa 2002.

[3] R. L. Purtill, *W obronie wiary. C.S. Lewisa argumenty na rzecz chrześcijaństwa*, tł. J. Urbaniak, Poznań 2013, str. 188.

[4] C.S. Lewis, *List zamieszczony w „Church Times”* (10 sierpnia 1951), cyt. za: Tenże, *Przebudzony umysł*, tł. A. Wojtasik i inni, Kraków 2014, str. 243.

[5] C.S. Lewis, *Listy starego diabła do młodego*, tł. S. Pietraszko, Warszawa 1990, str. 101.

Sprawiedliwość i miłosierdzie

Nie mało miejsca poświęca Lewis pojęciu sprawiedliwości społecznej, czemuś co, wydawać by się mogło, narodziło się dopiero w czasach współczesnych, razem z powstawaniem ruchów powszechnie nazywanych lewicowymi. Pisarz przekonuje, że to Pan Jezus oraz pierwsze wspólnoty chrześcijańskie są doskonałym przykładem, w jaki sposób należy pomagać innym. Już święty Jakub pisał: „Bracia moi! Jaki z tego pożytek, jeśli ktoś mówi, że wierzy, a nie potwierdza tego czynami? Czy taka wiara może go zbawić? Gdyby więc twój brat lub siostra byli nadzy lub głodni, ty byś im powiedział: »Idźcie w pokoju, ogrzejcie się i posilcie«, lecz nie dałbyś im tego, czego potrzebują, jakąż będą mieli z tego korzyść? Tak więc wiara, która nie jest potwierdzona czynami, martwa jest sama w sobie. Może ktoś powie: »Ty wierzysz, a ja wypełniam uczynki«. Pokaż mi twoją wiarę, która nie jest potwierdzona uczynkami, a ja ci pokażę moją wiarę, za którą idą czyny. Wierzysz, że jest jeden Bóg? Dobrze czynisz. Lecz demony też wierzą i ze strachu drżą” (Jk 2,14-19). Zgodnie z radą apostoła Kościół ak-

tywnie tworzył i nadal tworzy dzieła miłosierdzia, nieustannie pomagające ogromnej liczbie osób, które zostały mocno doświadczone przez los. Filozof osobiście był zaangażowany w pomoc słabszym, przeznaczał dwie trzecie swoich dochodów na potrzebujących, jednocześnie był krytycznie nastawiony do wszelkich prób uszczęśliwiania na siłę, poprawiania innych bez ich zgody. Do wszystkich zainteresowanych wiarą zawsze podchodził z pozycji współposzukującego, a nie nauczyciela czy mentora. Jednakże dla niektórych przeciwników chrześcijaństwa są to działania, które mają jedynie złagodzić objawy, a nie wpływają na przyczyny takiego stanu rzeczy. Utopiści, bo tak ich nazywa Lewis, chcieliby przeprowadzenia rewolucji społecznej. Niestety nie czerpią oni z zasobów historii i nie widzą, że wszelkie poprzednie rewolucje na końcu okazywały się karykaturami swoich pierwotnych założeń, a często także dosłownie pożerały swoje dzieci (na przykład podczas rewolucji francuskiej). Ich wiara w moc działania człowieka też przypomina wiarę religijną i przez to kreują oni bożka idealnego społeczeństwa, który odbiera Panu Bogu jedynie Jemu zarezerwowaną chwałę i cześć.

Miłosierdzie, nie tylko pojmowane jako pomoc biednym, oraz posłuszeństwo to dwa kolejne fundamenty życia każdego, kto chce się prawdziwie nazywać chrześcijaninem. Pierwszym obowiązkiem jest podporządkowanie się nakazom i prawu Bożemu, następnie powinności rodzinne oraz praca. W dzisiejszym świecie na przykład życie bez podejmowania zatrudnienia mogą pozwolić sobie jedynie osoby, które odziedziczyły spory majątek, cała reszta spędza w miejscu pracy jedną trzecią swojego życia. Dlatego tak duży nacisk w pismach Lewisa jest położony na filozofię pracy. Ważny dla autora jest sposób, w jaki zapewnia się byt rodzinie. Podkreśla on, że praca, którą się wykonuje, powinna być wartościowa na tyle, aby w przypadku gdyby człowiek nie musiał jej wykonywać i tak by ją z chęcią i pożytkiem dla innych podejmował[6]. Oczywiście także i tutaj ważny jest umiar. Zatrudnienie nie może być na tyle absorbujące, aby taka osoba nie miała czasu dla rodziny czy dla Boga i dlatego w eseju *Dobra robota* i dobre uczynki autor wyraźnie podkreśla: „Nasze powinności wobec Boga mają charakter nieskończony i bezwzględny. Albo możesz odmówić ich spełnienia, albo zrobić co w twojej mocy,

[6] Zob. C.S. Lewis, *Dobra robota i dobre uczynki*, w: Tenże, *Diabelski toast*, tł. Z. Kościuk, Warszawa 2010, str.119-120.



źródło:unsplash.com

by się z nich wywiązać – wyjścia pośredniego nie ma. A mimo to jest sprawą jasną, iż chrześcijaństwo nie wyklucza zwykłego działania człowieka w innych dziedzinach życia. Święty Paweł zachęca ludzi, by rozwijali się w swojej pracy zawodowej; dopuszcza także udział chrześcijan w ucztach – nawet w ucztach organizowanych przez pogan. Nasz Pan bawił się na weselu i w sposób cudowny zapewnił biesiadnikom wino. W większości epok chrześcijańskich pod egidą Jego Kościoła kwitło nauczanie i sztuka. Rozwiązanie tego paradoksu jest wam oczywiście dobrze znane: »Czy więc jecie, czy pijecie, czy co innego czynicie, wszystko czyńcie na

chwałę Bożą« (1 Kor 10,31)»[7].

Filozofia chrześcijańskiego życia

Lewis w swoich książkach proponuje chrześcijańską filozofię życia. W przeciwieństwie do hedonistów oraz rewolucjonistów społecznych postuluje zachowanie właściwego stosunku każdej części naszego życia do Stwórcy: małżeństwo i rodzina, miłość, zarabianie pieniędzy i wypoczynek, obowiązki wobec najbliższych, tych nieco dalszych oraz całego rodzaju ludzkiego. By każdy człowiek działał w zgodzie nie tylko z samym sobą, ale także odwiecznym zamysłem Bożym, które to

połączone mogą dać takiej osobie życie spełnione, jakkolwiek by ono problematyczne nie było. „Wszystkie nasze naturalne działania – nawet najskromniejsze – zostaną przyjęte z aprobatą, jeśli tylko ofiarujemy je Bogu; jednak wszystkie one – nawet najszlachetniejsze – okażą się grzeszne, jeśli tego nie uczynimy. Chrześcijaństwo nie usuwa naszego naturalnego życia i nie zastępuje nowym; chodzi raczej o nową organizację życia, dzięki której nasze naturalne zasoby zostają wykorzystane do celów nadprzyrodzonych. Bez wątplenia w określonych sytuacjach wymaga to rezygnacji z pewnych – a niekiedy i ze wszystkich – ludzkich dążeń: le-

[7] C.S. Lewis, *Brzemie chwały*, tł. D. Bakalarz, J. Muranty, Warszawa 2012, str. 38.

piej jednookim wejść do życia, niż z dwójgiem oczu być wrzucanym do piekła ognistego (zob. Mt 18,9). Jednak dzieje się to w pewnym sensie per accidens, ponieważ w tych wyjątkowych okolicznościach robienie tego czy tamtego na chwałę Bożą nie jest już możliwe. Życie duchowe i działanie człowieka jako takie zasadniczo nie stoją ze sobą w sprzeczności”[8].

„Lecz dla nich prawdziwa opowieść dopiero się zaczęła”[9]

Powyższy cytat jest klamrą spinającą naszą wspólną podróż po świecie Clive’a Staplesa Lewisa. Mam nadzieję, że w cyklu moich artykułów udało mi się rozjaśnić tezę, którą postawiłem w tytule oraz odpowiedzieć na zadane w nim pytanie. Poprzez omówienie życia profesora Lewisa oraz jego wielu dzieł, zarówno tych beletrystycznych, jak i filozoficznych, starałem się pokazać to niezwykle ciekawe podejście do wiary i religijności, podejście, które skupia się na chrześcijaństwie samym w sobie, dąży do jego istoty i chociaż widzi pewne problemy, jakie ma zarówno instytucja Kościoła, jak i każdy wierzący z osobna, to stara się dotrzeć do tego, co



źródło:unsplash.com

najbardziej w nim pierwotne i fundamentalne. Lewis widzi podziały między samymi chrześcijanami, ale jego twórczość ma na celu wyciąganie pierwiastka wspólnego dla wszystkich. Robi to, jak próbowałem to udowodnić, w sposób niezwykle racjonalny, który przeciętnej osobie może się nie kojarzyć z dziedziną duchowości, ale dzięki temu pozwala współczesnemu człowiekowi, człowiekowi wieku technologii i nieustannego wzrostu możliwości ludzkich, dać chwilę na zastanowienie oraz zatrzymanie się, w przeciwieństwie do nieustannie biegnącego świata. Miałem także na celu spopularyzowanie wiedzy o Lewisie i wydanych przez niego książkach,

które ewidentnie są wartością dodaną dla każdego, kto je weźmie do ręki i postanowi, pełen życzliwości, zaznajomić się z ich treścią. Człowiek naszych czasów, czytając filozofa naszych czasów, będzie mógł się łatwiej z tymi czasami skonfrontować, a dzięki temu będzie w stanie pozostać sobą, nie rozpluwając się w unifikującej się ludzkiej masie.

*Spodobał Ci się ten tekst?
Masz własne zdanie?
Chesz o coś zapytać?*

[8] Tamże, str. 39.

[9] C.S. Lewis, *Opowieści z Narnii. Ostatnia bitwa*, tł. A. Polkowski, Poznań 2008, str. 256.



źródło:pixabay.com

Kary za grzechy – historia i znaczenie odpustów



Piotr Bogdanowicz

Nie trzeba chyba zbyt wiele mówić o tym, że kwestia odpustów jest tą, która była punktem zapalnym w historii Kościoła. Nadużycia związane z ich udzielaniem przyczyniły się nawet do rozpadu Ciała Chrystusowego, jakim jest Kościół, do zerwania jedności będącej świadectwem życia Bożego w nas. Ta delikatna kwestia, choć wydaje się trochę zapomniana, a trochę dziwnie nieprzystająca do dzisiejszego świata i pojmowania wiary, wciąż pozostaje aktualna. Kościół w ostatnich latach wcale nie porzucił swojego nauczania o odpustach, wręcz przeciwnie, wciąż daje nowe sposoby, by je uzyskać.

Czym jest odpust? Odwołam się tutaj do definicji zawartej w konstytucji apostolskiej *Indulgentiarum doctrina* papieża św. Pawła VI, gdzie w pierwszej normie napisał on: „Odpust jest to darowanie wobec Boga kary doczesnej za grzechy, zgładzone już co do winy. Dostępuje

go chrześcijanin odpowiednio usposobiony i pod pewnymi, określonymi warunkami za pośrednictwem Kościoła, który jako szafarz owoców odkupienia rozdaje i prawomocnie przydziela zadośćuczynienia ze skarbca zasług Chrystusa i Świętych”.

Nie jest to prosta definicja,

ale i prawda o odpustach (praktyka ta jest charakterystyczna tylko dla tradycji łacińskiej) też nie jest tak oczywista i jednoznaczna. Nie bez powodu była ona przyczyną licznych sporów doktrynalnych, które doprowadziły w XVI w. do rozłamu w Kościele Zachodnim. Wśród zarzu-



źródło: pixabay.com

tów, stawianych przez znanego wszystkim Marcina Lutra lub mniej znanych Johanna Tetzela czy kard. Albrechta z Brandenbursu, były te o nadużycia finansowe oraz mechaniczne i ilościowo-przedmiotowe traktowanie Bożego miłosierdzia czy łaski w ogóle. Również dziś temat nie jest do końca dla wszystkich jasny. Daleko nam do właściwego zrozumienia, czym jest podział na winę oraz karę doczesną i wieczną, a i samo rozdzielanie duchowych dóbr, tak jakby to były rzeczy, nie kojarzy się najlepiej. Warto zatem prześledzić temat odpustów od samego po-

czątku, od jego źródeł.

Źródła teologiczne

Jasno trzeba tu powiedzieć, że odpusty nie mają bezpośredniego uzasadnienia w Piśmie Świętym (w przeciwieństwie do nauki o karach za grzechy). „Punktem wyjścia do zrozumienia istoty odpustu jest bogactwo Bożego miłosierdzia, które objawiło się w krzyżu Chrystusa. Ukrzyżowany Jezus jest wielkim »odpustem« ofiarowanym przez Ojca ludzkości jako przebaczenie win i zaproszenie do synowskiego życia (por. J, 12-

13) w Duchu Świętym (por. Ga 4, 6; Rz 5, 5; 8, 15-16)”[1]. Ponadto trzeba wiedzieć, że pojednanie z Bogiem wskutek grzechu popełnionego po chrzcie świętym jest procesem, żmudną drogą, która nie kończy się w spowiedzi sakramentalnej – podstawowym akcie dającym odpuszczenie win oraz kar wiecznych za ich popełnienie. „Człowiek musi być bowiem stopniowo »uzdrowiony« z negatywnych konsekwencji, jakie pozostawił w nim grzech (a które tradycja teologiczna nazywa »karami« i »śladami« grzechu)”[2]. Skąd jednak to rozróżnienie na kary

[1] Św. Jan Paweł II, Audienca Generalna, 23.09.1999 r.

[2] Tamże.

wieczne i doczesne? Z wiedzy, jaką Kościół posiada na temat samej natury grzechu.

Grzech jest nie tylko znieważeniem, zlekceważeniem i odrzuceniem Bożej miłości. Pociąga on za sobą pewną konsekwencję, która będzie trwała wiecznie – potępienie, piekło. W spowiedzi sakramentalnej zostaje nam darowana i zapomniana wina, a wskutek tego otrzymujemy pojednanie z Bogiem. Problem w tym, że do natury każdego grzechu należy także niszczenie i zaburzanie naturalnego boskiego porządku, jaki istnieje na tym świecie. Każdy grzech przez to, że jesteśmy wspólnotą (świętych obcowanie), rani ją oraz niszczy dobra przeznaczone dla niej i dla samego grzesznika. I choć w relacji do Boga jest wszystko w porządku, to jednak w relacji do siebie samego oraz drugiego człowieka/wspólnoty wciąż jest to nie- naprawiona krzywda. Bardzo dobrze pokazuje to Stary Testament. „Bóg bowiem, który mówi o sobie, że jest »miłosierny i litościwy (...), przebaczący niedziwość, niewierność, grzech«, dodaje: »lecz nie pozostawiający go bez ukarania« (Wj 34, 6-7). W Drugiej Księdze Samuela król Dawid pokornie wyznaje, że popełnił grzech ciężki, dzięki czemu uzyskuje Boże przebaczenie



źródło: pixabay.com

(por. 2 Sm 12, 13), ale nie zwalnia go to od zapowiedzianej kary (por. 2 Sm 12, 11; 16, 21). Ojcowska miłość Boża nie wyklucza kary, choć trzeba ją zawsze pojmować w świetle miłosiernej sprawiedliwości, która przywraca naruszony porządek dla dobra samego człowieka (por. Hbr 12, 4-11)”[3].

Kościół, opierając się na bardzo trudnej władzy wiązania i rozwiązywania oraz na skuteczności swojej modlitwy wstawienniczej, może udzielić każdemu proszącemu i spełniającemu ku temu odpowiednie warunki (które chronią przed nadużyciami) łaski darowania części lub całości kar docze-

[3] Tamże.

snych, jakie ciążą na nim lub na kimś zmarłym za popełnione czyny: „Muszą one być poniesione albo na tym świecie przez cierpienia, nędze i utrapienia tego życia, a zwłaszcza przez śmierć, albo też w przyszłym życiu przez ogień i męki, czyli kary czyścicowe. Stąd wierni zawsze mieli to przeświadczenie, że zła droga posiada wiele okazji do upadku i że jest ona wyboista, ciernista i szkodliwa dla tych, którzy nią kroczą”[4]. Zatem Kościół, korzystając z tej władzy, „rozdziela”, czerpiąc obficie ze skarbcza łask, który tradycja nazywa Skarbce Kościoła.

Skarbiec Kościoła

Tutaj dotykamy jednej z prawd wiary, którą każdej niedzieli wyznajemy we wspólnocie Kościoła – świętych obcowanie. Nie polega ono tylko na naszej relacji ze świętymi, którzy są już w niebie. Dzięki świętym obcowaniu mamy przedziwną, duchową, niezwykle brzemienią w skutkach duchową łączność z duszami czyścicowymi oraz między sobą. Dzięki świętym obcowaniu możemy mówić o potrójnym wymiarze Kościoła (pielgrzymujący, oczyszczający i chwalebny lub jak dawniej: walczący, cierpiący i tryumfujący).

Ta właśnie więź sprawia, że jako jedno Ciało Chrystusa możemy czerpać ze świętości jednego, lecz ponadto sprawia, że każdy grzech, nawet najbardziej skryty, dotyka całej wspólnoty wciąż kroczącej do wieczności.

Warto w tym miejscu dość obszernie zacytować papieża Klemensa VI, który polecił obchodzić rok jubileuszowy co 50 lat, a w 1343 roku bullą jubileuszową *Unigenitus Dei Filius* ogłosił rozpoczęcie takiego roku (1350) oraz po raz pierwszy przedstawił oficjalną naukę na temat Skarbcza Kościoła:

„Jednorodzony Syn Boży [...] »który stał się dla nas mądrością od Boga i sprawiedliwością, i uświęceniem« (1 Kor 1,30), »nie przez krew kozłów i cielców, lecz przez własną krew

wszedł raz na zawsze do Miejsca Świętego i osiągnął wieczne odkupienie« (Hbr 9,12). Albowiem odkupił nas nie przemijającym złotem i srebrem, ale drogocenną krwią swoją, baranka niepokalanego i bez zmazy (por. 1 P 1,18). Niewinny, ofiarowany na ołtarzu krzyża, wylał – jak wiadomo – nie maleńką kroplę krwi, która przecież na skutek zjednoczenia ze Słowem wystarczałaby na odkupienie całego rodzaju ludzkiego, lecz wylał ją obficie niby jakiś strumień, tak że »od stopy nogi do szczytu głowy nie było w Nim czegoś zdrowego« (Iz 1,6). Jakżeż wielki więc skarbiec nabył przez to dla walczącego Kościoła, dla którego tak wielkie, miłosierne wylanie krwi nie było daremne, próżne i zbyteczne! Dobry Ojciec chciał



Fragment fresku z Kaplicy Sykstyńskiej przedstawiający przekazanie św. Piotrowi kluczy Królestwa Niebieskiego

źródło: wikicommons.com

[4] Bł. Paweł VI, *Indulgentiarum doctrina*, I,2.

swym synom dać skarb, aby w ten sposób zaistniał »dla ludzi skarb nieprzebrany, ci którzy go zdobyli, przyjaźń sobie Bożą zjednali« (Mdr 7,14).

Ten właśnie skarb [...] [Bóg] powierzył świętemu Piotrowi, klucznikowi nieba i jego następcom, swoim namiestnikom na ziemi, aby był rozdawany wiernym dla zbawienia i aby prawdziwie pokutującym i spowiadającym się miłosiernie go udzielano dla pobożnych i rozumnych przyczyn, odpuszczając doczesną karę należną za grzechy, bądź zupełnie, bądź częściowo, tak ogólnie, jak i w poszczególnych przypadkach (według tego, co uznają za pożyteczne przed Bogiem).

Wiadomo, że do powiększenia tego skarbcza przyczyniają się zasługi błogosławionej Bogurodzicy i wszystkich wybranych, od pierwszego sprawiedliwego aż do ostatniego. Nie należy wcale obawiać się o wyczerpanie, czyli o zmniejszenie tego skarbcza tak ze względu na nieskończone (jak wyżej powiedziano) zasługi Chrystusa, jak też ze względu na to, że im większa liczba ludzi, czerpiąc z niego, skłania się ku sprawiedliwości, tym bardziej wzrasta zasób samych zasług"[5].

Aby jednak skorzystać z tego skarbcza, konieczny jest

Kościół i jego posługa jako Ob-lubienicy Chrystusa. To też jest bardzo trudno przyjąć, ale to właśnie Kościół wraz z władzą kluczy oraz z racji, że ma w sobie dzięki Chrystusowi oraz Duchowi Świętemu pełnię narzędzi zbawienia, w sposób autorytatywny przez modlitwę udziela odpowiednio przygotowanemu do tego chrześcijaninowi odpustu, czyli darowania kar doczesnych w całości lub części.

Nadzieja i zadanie

Jakkolwiek prawda o odpustach jest trudna do zrozumienia i być może przyjęcia, to jednak jest ona faktycznie obowiązującą i ważną praktyką w Kościele, niosącą nadzieję i pociechę. Wszak odpust można uzyskać nie tylko dla siebie, lecz także dla kogoś zmarłego (nigdy natomiast dla kogoś żyjącego). Co więcej, wierzący nie są w żaden sposób zmuszani do uzyskiwania odpustów, ponieważ one nie są do zbawienia konieczne potrzebne. Trzeba w tym wszystkim mieć świadomość, że kary za grzechy nie są nakładane przez Boga, lecz są one niejako ich naturalną konsekwencją, zaś gładzenie ich przez praktykę odpustów w żadnym wypadku nie może zastępować pokuty, ponieważ ona ją zakła-

da. Ponadto aby uzyskać odpust zupełny lub częściowy, trzeba spełnić szereg bardzo trudnych (w przypadku odpustu zupełnego) warunków, jak chociażby wolność od przywiązania do jakiegokolwiek grzechu. W tym tkwi właśnie zadanie, które bardzo pomaga m.in. w stopniowym oczyszczaniu swojego życia chociażby z grzesznych przyzwyczajeń (nawet jeśli stanowią one materię grzechu lekkiego).

Jestem świadom, że ten tekst nie wyczerpuje tematu. Zdecydowanie brakuje tutaj kwestii historycznego rozwoju praktyki odpustów wraz z kontrowersjami i dyskusjami, które zrodziła, z rozłamem we wspólnocie Kościoła włącznie. Na końcu numeru pojawi się krótki spis warunków, jakie Kościół w swojej mądrości ustanowił, aby można było uzyskać odpust zupełny lub częściowy.

Spodobał Ci się ten tekst?

Masz własne zdanie?

Chesz o coś zapytać?

[5] *Breviarium Fidei*, 266-268.

Kobiety z wyobraźnią miłosierdzia



Ks. Dawid Tyborski

Królestwo Boże rozszerza się dzięki małym i pokornym ludziom oraz przez małe i pokorne uczynki miłości. Sam Pan Jezus mówił, że Królestwo Boże rozrasta się jak ziarno gorczycy (Mk 4,30-32), które choć jest najmniejszym z ziaren, wyrasta ponad inne i daje cień oraz schronienie. Trudne czasy XIX-wiecznej rewolucji przemysłowej były dla zniewolonych ziem południa Polski i Śląska okazją doświadczania Bożej Opatrzności. Tym razem dobry Pan Bóg posłużył się prostymi kobietami z wyobraźnią miłosierdzia.



Błogosławiona
Maria Luiza
Merkert CSSE

źródło: wikicommons.com

Nysa, położona na południe od Wrocławia, niedaleko czeskiej granicy, wydała na świat Marię Luizę Merkert. Kobieta silną, przewidującą i otwartą na cuda Bożej Opatrzności. Pogłębiająca się różnica jakości życia między klasami, nowe wyzwania ekonomiczne, wykorzystywanie drugiego człowieka dla wzbogacenia się to tylko niektóre ze spraw, które tworzą tło pod historię życia dzielnej mieszkanki Nysy.

Najświętsze Serce Jezu-

sa ukochało sobie człowieka, by budować w nim swój dom, a Maria Luiza Merkert zdecydowanie była gotowym już mieszkaniem dla pragnień Boskiego Serca. Dostrzegając otaczającą ją biedę i nędzę, otwarta na Boskie natchnienia i Bożą wolę, w pięknie swojej prostoty zaczęła pomagać najuboższym mieszkańcom Nysy. Od początku silnym rysem jej działalności była opieka nad chorymi i cierpiącymi w ich własnych domach. Powodem była nie tylko słaba

sytuacja materialna, w związku z którą ludzie nie mogli sobie pozwolić na opiekę w szpitalach, ale często dlatego, że nie chcieli oni opuszczać swoich domów. Wrażliwość i czułość Marii Merkert dostosowała się do potrzeb ubogich i cierpiących.

Fundamentem działań śląskiej samarytanki była głęboka wiarawdobroć i czułość wszechmogącego Boga. Jak zanotowała w swoich rozmyślaniach: „Bóg jest moim dobrym Ojcem i spogląda na mnie z miłością”.



źródło:pixabay.com

Takie dziecięce oddanie było motorem do wszelkich działań związanych z posługą czynnej miłości w Nysie. Głęboka wiara i oddanie Matki Marii były wymagające. Nie zadowalała się ona pośrednimi rozwiązaniami czy bylejąkością. Cała posługa od początku do końca miała być profesjonalna i dopasowana do potrzeb ubogich. Pozostawiając siostron elżbietankom swój testament duchowy, zanotowała w zaleceniach, że „dla biednych, którzy przychodzą w miejsce Boga, jedzenie musi być smaczne..., wstydzić byśmy się musiały, gdyby Zbawiciel stanął przed nami w starym ubraniu lub koszuli, którą od nas otrzymał. Bieda nam wówczas w dzień sądu”. Posługa, która przynosi owoc trwały i obfity, musi być służbą przenikniętą szczerą miłością.

Bł. Maria Luiza Merkert i jej towarzyszk nie zadowalały się półśrodkami. Miłość musi być twórcza i wymagająca.

Ogromne, jak się okazało, potrzeby małego śląskiego miasta przekształciły się w okazje do czynów miłości. Maria wraz z Matyldą, rodzoną siostrą, po śmierci matki sprzedały majątek, a pieniądze przeznaczyły na swoje apostolstwo. Do sióstr dołączyły Franciszka Werner i Klara Wolff, razem oddając się posłudze miłosierdzia. W jej ramach rozpoczynały i kończyły dzień modlitwą, wieczorem dołączając do niej adorację, a swój czas przepełniały Bożą obecnością, dokądkolwiek się udawały. W taki sposób Chrystus zbudował przez śląską samarytanek pierwszą wspólnotę, która potem przekształciła się w Zgro-

madzenie Sióstr Elżbietanek.

Tworzące apostolstwo Maria Luiza Merkert, Matylda Merkert oraz Klara Wolff i Franciszka Werner 27 września 1842 roku oddały się Boskiemu Sercu Jezusa. Tego dnia rozpoczęły także wspólne życie, zobowiązując się nieść Chrystusa do chorych, cierpiących i opuszczonych w Nysie. Kilka lat później Matka Maria Luiza Merkert rozpoczęła organizowanie zgromadzenia, które zatwierdził ostatecznie bł. Pius IX.

Organizowanie życia zakonnego nie należało do najłatwiejszych zadań, bowiem od początku piętrzyły się kłopoty. Pomaganie najuboższym należało do charyzmatu wspólnoty, ale jej oczywisty katolicki fundament wywoływał niechęć pruskich władz, które w czasie



źródło: wikicomons.com

Kulturkampfu tłumiły wszelkie przejawy zorganizowanej duchowości katolickiej. Zarówno Maria Luiza, jak i Klara Wolff, która początkowo założyła prywatną wspólnotę „szarych sióstr”, były stale inwigilowane i nękanie.

Równie trudne okazały się drogi szukania woli Bożej. Nyscy księża, początkowo zainteresowani i otwarci na nowe załączki życia zakonnego w ich mieście, szybko przekonali się, że sprawa niekoniecznie będzie układała się według ich zamysłu. Zarówno Matka Maria Luiza, jak i Klara Wolff nie zgodziły się na wchłonięcie wspólnoty przez Siostry Boromeuszki, odczytując różnicę pomiędzy oboma charyzmatami. Pomimo turbulencji, kłopotów, podziału i zwykłych

słabości – wyobraźnia miłosierdzia nigdy ich nie opuszczała.

Bł. Matka Maria budziła podziw wśród władz miasta, nawet w sytuacji trudnej polityki zaboru pruskiego. Jej ofiarna, bezkompromisowa postawa bardzo często otwierała serca i administracyjne drogi dla biednych, potrzebujących oraz dla samego zgromadzenia. Jak pisała w 1850 roku do władz miasta: „Nie lękajmy się żadnej niewygody i ofiary. Nie odstrasza nas nawet myśl, że choroba pierwszego podopiecznego, który żąda pomocy, może być przyczyną naszej śmierci”. Tak heroiczna postawa spalania się z miłości aż do końca potrafiła kruszyć mury ludzkich serc, biurokracji i politycznych zawiłości.

Klara Wolff zmarła w 1843 roku w Bystrzycy Kłodzkiej, uformowawszy tam wspólnotę na sposób nyski. Po jej śmierci Matka Maria Luiza wraz z Matyldą i Franciszką Werner podjęły konkretne kroki ku utworzeniu wspólnoty zakonnej, którą zatwierdził na prawie diecezjalnym biskup wrocławski Henryk Forster. Matylda umarła w 1846 roku podczas ofiarnej postugi miłosierdzia w Prudniku, wśród zarażonych tyfusem.

Żyjące najdłużej Maria i Franciszka zajęły się organizacją zgromadzenia, które często zakładało swoje domy w środowiskach protestanckich. Niosły

więc nie tylko miłość względem chorych, ich ofiarność stawała się wezwaniem do nawrócenia na wiarę katolicką. Zarówno Maria Luiza, jak i Franciszka Werner zmarły w opinii świętości, jako śląskie samarytanki, które nie szczędząc siebie, przynosiły Chrystusa do tych, którzy byli najbardziej opuszczeni, tak jak Jezus w Ogrójcu. W chwili śmierci drugiej przełożonej, Franciszki Werner, w 1885 roku, na świecie było 700 sióstr elżbietanek w 100 domach zakonnych.

Dzieło bł. Marii Luizy Merkert, jej siostry Matyldy, Franciszki Werner oraz Klary Wolff trwa do dzisiaj i wydaje błogosławione owoce. Te inspirujące i dzielne kobiety, które walczyły z zaborczym systemem, wrogą polityką Kulturkampfu, przeciwnościami losu, a także ze słabością i grzechem, nauczyły się wszędzie szukać woli Bożej, a przede wszystkim wypełniać ją w piękny sposób.

Spodobał Ci się ten tekst?

Masz własne zdanie?

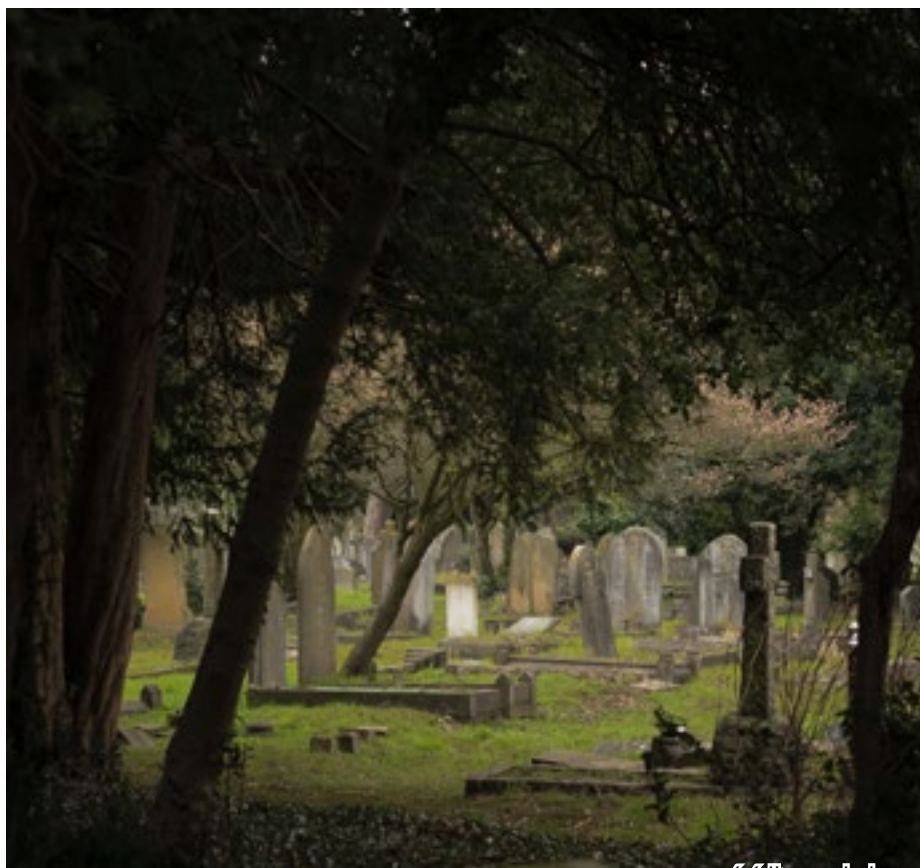
Chesz o coś zapytać?

Obrazy godnej śmierci



Wojciech Gałek

Jest coś fascynującego w tym tajemniczym, niemal misteryjnym wydarzeniu kończącym naszą ludzką, ziemską egzystencję. Choć z punktu widzenia biologii to po prostu trwałe i nieodwracalne ustanie funkcji życiowych, to jednak trudno oprzeć się wrażeniu, że za tym wszystkim kryje się coś więcej, i że nawet umierając można czegoś dokonać.



źródło:unsplash.com

W serialu „Dr House” tytułowy bohater, lekarz w tym samym stopniu inteligentny, co zadufany w sobie, miał kilka powiedzeń. Oprócz słynnego „wszyscy kłamią” z jego ust od czasu do czasu padał zwrot: „można godnie żyć, ale nie godnie umierać”. Być może coś jest na rzeczy z tą myślą. Śmierć zazwyczaj nie wygląda tak, jak pokazuje się to na ekranach kin i telewizorów. Potrafi przerażać, ale... No właśnie. Jest pewne „ale”.

Zapewne nie bez powodu kultura połączyła umieranie z pojęciem godności, choć na przestrzeni wieków bywało ono różnie rozumiane. Zawsze istotny był kontekst filozoficzny i religijny, do którego odnosiły się ówczesne społeczeństwa.

Nawet ateści zawieszają czysty biologizm i szukają sposobów na godną śmierć. Współczesne rozumienie tego pojęcia drastycznie jednak różni się od tego, jak postrzegano je w przeszłości.

(Wy)godna śmierć

Dziś pod pojęciem „godnej śmierci” kryją się głównie „argumenty” zwolenników eutanazji, czyli uśmiercania na życzenie. Co istotne, w tym przypadku pojęcie godności funkcjonuje nie w przestrzeni symboliczno – ideowej, ale czysto estetycznej. Nie chodzi o heroiczną próbę zniesienia bólu ani o poświęcenie się dla kogoś lub czegoś. Wręcz przeciwnie. Przez godność rozumie się śmierć osoby starszej lub

chorej bez cierpienia i krwi. Aby osiągnąć ten cel, można zastosować różne, niekoniecznie moralne środki. Ważne jest to, by było szybko i bezboleśnie.

Tego typu podejście nie może dziwić w kontekście zdecydowanie hedonistycznej kultury współczesnej, w której życie służy głównie zaspokajaniu własnych potrzeb. Czy wiąże się to z postępującą laicyzacją kultury zachodniej? Bardzo możliwe. W momencie, w którym znika perspektywa wieczności, nadrzędnym celem staje się wygoda w życiu doczesnym. Każda niedogodność traktowana jest jako problem, który trzeba natychmiast wyeliminować.

Z biegiem lat coraz częściej można zauważyć, że głównym

motorem, napędzającym ideę eutanazji jest... strach. W wielu momentach jest on całkowicie zrozumiały. Ból, na przykład ten pojawiający się przy chorobach nowotworowych, jest strasznym przeżyciem. Zarówno dla samego chorego, jak i najbliższego otoczenia. Fizyczne cierpienie, połączone z poczuciem własnej bezradności i świadomości nieuniknionego końca, jest odczuciem tak traumatycznym, że osoba zdrowa nie jest w stanie sobie go wyobrazić.

Oprócz strachu przed biologicznym cierpieniem pojawia się jeszcze jeden rodzaj lęku, szczególnie intensywny w przypadku osób zindywidualizowanych, którzy próbują maksymalnie kontrolować swoje życie. Chodzi tu o strach przed byciem zależnym od kogoś. Nieemożliwość bycia w stu procentach samodzielnym, potrafi przerazić takiego człowieka. Dlaczego? W wielu sytuacjach, zwłaszcza przy chorobach przewlekłych, połączonych z degradacją funkcji poznawczych, osoba cierpiąca wymaga stałej pomocy nawet przy tak prostych czynnościach jak jedzenie czy siadanie na łóżku. Z perspektywy osoby zdrowej całkowita zależność, zwłaszcza w przyziemnych lub intymnych sprawach jawi się jako coś uwłaczającego.

Tragizm całej sytuacji polega jednak na tym, że zamiast zaofe-

rować takim ludziom wsparcie fizyczne, psychiczne i duchowe oraz podejmować odpowiednie działania z zakresu medycyny paliatywnej, szuka się rozwiązań w brutalnym unicestwieniu biologicznego życia. Brutalnym nie ze względu na formę, gdyż eutanaści uciekają od wszelkich nieestetycznych obrazów śmierci, ale ze względu na traktowanie życia człowieka jako procesu, który można przerwać łatwo, szybko i praktycznie bez żadnych negatywnych konsekwencji.

W skrajnych przypadkach eutanazję zaczyna się traktować jako podstawową formę „leczenia” nieuleczalnie chorych. Przypadek Rogera Foleya z Kanady, którego próbuje się zmusić do samobójstwa, pokazuje, jak bardzo współczesny świat próbuje uciec od trudów prawdziwej pomocy i opieki nad cierpiącymi. Istotny okazuje się tu także czynnik ekonomiczny. Choć może brzmieć to tragicznie, życie ludzkie podlega w takiej sytuacji wartościowaniu, przez co opieka nad osobami nieuleczalnie chorymi staje się obciążeniem finansowym dla państwowej służby zdrowia lub opiekunów.

Wbrew współczesnym trendom to właśnie eutanazja jest swoistym zaprzeczeniem godności, gdyż pozbawia jej człowieka chorego, sprowadza-

jąc go do poziomu zwierzęcia, które można uśpić, albo wręcz przedmiotu, którego utrzymanie kosztuje zbyt wiele. Jednocześnie definiowanie godności jako braku bólu jest całkowitym przeciwieństwem wielu dotychczasowych obrazów godnej śmierci, które kierują człowieka w stronę wyższych wartości, pozwalając mu na przekraczanie siebie i swoich słabości.

Słodko i zaszczynie...

O Spartanach słyszał chyba każdy, głównie dzięki historii bitwy pod Termopilami, w której wzięło udział trzystu hoplitów pod wodzą króla Leonidasa. Kilkanaście lat temu historię tę spopularyzował film „300” Zacka Snydera. Ta patetyczna, strasznie przerysowana adaptacja komiksu, przedstawia obraz wojowników, dla których najwyższą chwałą jest śmierć w obronie wolnej Grecji, zagrożonej perskim najazdem. Przyjęta konwencja oraz podniesiony do potęgi heroizm głównych bohaterów sprawia jednak, że trudno pozbyć się wątpliwości, czy tak właśnie mogła wyglądać postawa Spartan w V wieku przed Chrystusem. Prawda to, czy tylko wymysł reżysera?

Cóż. W dużej mierze to... prawda. Tyrtajos, grecki poeta z VII wieku przed Chrystusem pisał: „Piękna rzeczy, gdy pada

na czele wojowników/ dzielny mąż w walce za swoją ojczyznę". Mieszkańcy najważniejszego polis Peloponezu od wieków wyróżniali się umiłowaniem wojny. Surowe prawo Likurga wymuszało na nich postawę absolutnego poświęcenia własnemu miastu. Wyrabianiu jej służyło szkolenie zwane agoge oraz wiele innych procesów kształtowania spartańskiego hoplity, mającego walczyć do ostatniej kropli krwi. Na sławę można było zasłużyć tylko na dwa sposoby: wygrać bitwę lub zginąć, próbując zwyciężyć.

Ten kult chwalebnie poległych osiągał czasami absurdalne z naszej perspektywy rozmiary. Jeden ze Spartan, odesłany przez Leonidasa spod Termopil, z powodu choroby oczu został po powrocie do swojego miasta okrzyknięty tchórzem. Chcąc zrehabilitować się w oczach rodaków, w kolejnej bitwie przeciw Persom dokonywał cudów

męstwa. Mimo to Spartanie nie zapomnieli mu Termopil i podtrzymali swoje dotychczasowe zdanie.

Do podobnej sytuacji doszło w 390 r. przed Chrystusem, gdy oddział Spartan wpadł w zasadzkę. Poległo dwustu pięćdziesięciu hoplitów, reszta wycofała się do miasta. Reakcja Lacedemończyków była zgoła nieoczekiwana. Jak podaje Ksenofont: „Nie smucili się tylko ci, których synowie lub bracia padli na stanowisku; ci bowiem niby zwycięzcy chodzili promienni i radośni”.

Spartanie nie byli jednak ani pierwsi, ani jedyni, jeśli chodzi o kwestię kultu heroicznie poległych. Powszechnie znana jest sentencja Horacego: „Dulce et decorum est pro patria mori”. Słodko i zaszczytnie jest umierać za ojczyznę. Tę zasadę wyznawali antyczni Grecy, starożytni Rzymianie, średniowieczni mieszkańcy Europy, japońscy

samurajowie, polscy powstańcy i żołnierze z czasów II wojny światowej.

W tym kontekście godna śmierć rozpatrywana była w przestrzeni ideowej. Życie ludzkie jako takie, nie wspominając już o życiu wygodnym, przestaje być wartością samą w sobie. Bynajmniej nie traci ono na wartości per se, natomiast są momenty, w których można, a nawet należy zrezygnować z własnego „ja” na rzecz czegoś... większego. Mąż rzucający się na przestępcę i ryzykujący własne zdrowie oraz życie, by ratować swoją żonę, kieruje się podobną do Spartan wizją świata. Można skonać z nożem wbitym w brzuch, ale ze świadomością, że zrobiło się to, co należy.

Jest jednak coś, co nie pozwala na absolutną gloryfikację spartańskich wojowników. Tak jednostronne nastawienie na śmierć z poczucia obowiązku



Kadr z filmu "300"
w reżyserii Zacka Snydera

źródło: youtube.com

może stać się pewnego rodzaju wypaczeniem. Przesadne kulturowanie heroicznej śmierci w pewnych momentach deprecjonuje życie samo w sobie, które przecież, jak dobrze wiemy, jest darem od Boga. W skrajnych przypadkach życie staje się przekleństwem pogardzanym przez innych. Czy człowiek umierający ze starości w swoim własnym łóżku jest mniej warty od wojownika ginącego na polu bitwy?

Męczennicy czy wyznawcy?

Jak do sprawy podchodzi katolicyzm? Jakich wskazówek dotyczących umierania udziela? Czy jedyną wartościową śmiercią jest ta w imię wyższych celów, czy liczy się ta, w której unika się cierpienia?

Mając na uwadze wojenną filozofię Spartan oraz współczesną mentalność, kładącą nacisk na unikanie bólu za wszelką cenę, można stwierdzić, że religia katolicka odrzuca obie skrajności. Bynajmniej nie oznacza to krytyki ani chwalebnej śmierci za ojczyznę, ani prób uśmierzenia bólu. Wręcz przeciwnie. Chodzi po prostu o zachowanie umiaru w ramach moralności.

Wiele osób nie mających wiedzy na temat chrześcijaństwa interpretuje katolicyzm jako niezwykle cierpiętniczą religię, skupiającą się w niezdrowy

sposób na aspekcie bólu. Szczególni ignoranci sugerują wręcz, że Kościół lubuje się w martyrologii i chciałby zmuszać każdego człowieka do cierpienia ponad jego siły. Argumentem potwierdzającym tę tezę miałyby być przykład męczenników lub licznych praktyk pokutnych. Czy wynika to z nieznamomości tematu, czy ze zwykłych uprzedzeń, trudno orzec.

Tymczasem Kościół od zawsze naucza, że życie doczesne jako dar otrzymany od Boga pozostaje jedną z najwyższych wartości. Dbłość o swoją doczesną powłokę jest obowiązkiem chrześcijanina, do którego zobowiązuje go przede wszystkim piąte przykazanie. Ponadto, św. Paweł w Liście do Koryntian pisał, iż ciało człowieka jest świątynią Ducha Świętego. Jakże więc można aprobować działania wyrządzające mu krzywdę?

Oczywiście Kościół od wieków gloryfikował osoby będące w stanie poświęcić swoje własne życie lub zdrowie dla wzniosłych celów. Nie chodzi tu tylko o męczenników oddających życie za wiarę, ale także o bardziej „ziemski” wymiar heroizmu, jak obraz matki ratującej swoje dziecko nawet za cenę własnej śmierci. Cierpienie samo w sobie nigdy jednak nie uszlachetnia człowieka. Może to zrobić tylko sposób jego przyjęcia.

W tym wszystkim kluczowe stają się intencje. Zawsze w takich sytuacjach na pierwszy plan powinna wysuwać się miłość. Do Boga i bliźniego. To ona staje się punktem odniesienia do oceny, czy narażanie własnego życia ma charakter chwalebny, czy zgoła przeciwnie.

Chorzy i kapłani często odwołują się do konieczności niesienia własnego krzyża na wzór Chrystusa. Na czym to jednak polega? Św. Teresa Benedykta od Krzyża, znana bardziej pod swoim świeckim imieniem Edyty Stein, pisała: „Krzyż jest pojęciem wspólnym dla tego wszystkiego, co nieproszone zjawia się w naszym życiu, co pozostaje, gdy uczyniliśmy wszystko, by oddalić nędzę, chorobę, cierpienia i udręki wszelkiego rodzaju. To, co mimo to zostaje, to Krzyż”.

Już w starożytnym Rzymie biskupi przestrzegali przed lekkomyślnym narażaniem się poganom w poszukiwaniu męczeńskiej śmierci. Dopóki było to możliwe, chrześcijanie mieli ratować swoje życie. To właśnie odróżnia chrześcijaństwo od niemal bałwochwalczych kultów własnego narodu czy państwa. Prześladowani wyznawcy Chrystusa nie mieli zachowywać się jak Spartanie, pogardzający tymi, którzy woleli się wycofać w obliczu przegranej bitwy. Tego typu zachowanie było zbyt bliskie samobójstwu. Uśmiercanie



źródło:unsplash.com

siebie na własne życzenie nie mogło być zatem rozpatrywane w kategoriach „godnej śmierci”.

Czytając zresztą teksty i publikacje religijne, częściej dostrzega się określanie śmierci jako „dobrej” niż „godnej”. W tym właśnie sformułowaniu należy poszukiwać klucza do rozwiązania zagadki godnego umierania. Dobra śmierć, czyli taka, która prostą drogą prowadzi do Boga.

Choć zabrzmiałoby to banalnie, forma umierania jest kwestią drugorzewną. Przykład Jezusa, męczenników i wielu świętych pokazuje, że można ponieść dobrą i godną śmierć w zupełnie różnych sytuacjach. Ludzie, którzy znają nieco historię i biologię wiedzą, że śmierć przez ukamienowanie wygląda mako-

brycznie. Skazany kona w bólu, kałuży krwi i własnych fekalii. Czy w takim razie św. Szczepan nie umarł godnie? Czy cierpiący na nowotwór mężczyzna, podłączony do aparatury w szpitalu, umiera w sposób mu uwłaczający? Czy ponad stuletnia kobieta z zaawansowaną demencją, konając na swoim własnym łóżku, jest mniej warta od młodych, silnych, żyjących?

Istnieje w Polsce przysłowie: jakie życie, taka śmierć. Z kolei ksiądz Kaczkowski powiedział kiedyś: „Dla mnie fakt ustania pracy organizmu nie jest dowodem na to, że człowiek przestał istnieć. Zawsze mówię pacjentom, że trzeba przeżyć własną śmierć – to jest zwycięstwo duszy nad ciałem”. Godność czło-

wieka wynika z faktu, iż został stworzony na obraz i podobieństwo Boga, a godność śmierci polega na tym, że prowadzi ona do Stwórcy.

Spodobał Ci się ten tekst?

Masz własne zdanie?

Chesz o coś zapytać?

Warunki uzyskania odpustów zupełnych



Piotr Bogdanowicz

Jak już było powiedziane, praktyka udzielania odpustów w Kościele katolickim posiada wielowiekową tradycję i pomimo wielu kontrowersji, jakie budziła, wciąż jest w mocy i pozostaje aktualną oraz zalecaną praktyką. Najlepiej aby każdy wierny starał się o uzyskanie odpustu (szczególnie zupełnego) każdego dnia. Odpust można uzyskać za siebie lub za kogoś zmarłego. I tak na przykład, kiedy uzyskujemy odpust zupełny za siebie – unikniemy kar czyśćcowych, jeśli za zmarłego, to ratujemy go z czyśćca.

Godne przyjęcie Ciała Pańskiego – to znaczy w stanie łaski uświęcającej.

Wolność od przywiązania do jakiegokolwiek grzechu – chodzi o nietolerowanie wszelkich złych przyzwyczajęń, grzechów (ciężkich oraz lekkich) i nałogów, które są moją słabością. Bez stanowczego wykluczenia w przyszłości dobrowolnego i świadomego powtarzania tych grzechów nie można mówić o wolności od przywiązania.



źródło:unsplash.com

Wypełnić określone praktyki pobożnościowe – 1) adoracja Najświętszego Sakramentu przynajmniej przez pół godziny w kościele lub w kaplicy (Pan Jezus nie musi być wystawiony w monstrancji); 2) czytanie Pisma Świętego; 3) odprawienie Drogi Krzyżowej w kościele, w kaplicy lub na kalwarii, przed stacjami zatwierdzonymi przez władzę kościelną; 4) odmówienie wspólnotowe jednej części

różańca (pięć dziesiątków) w dowolnym miejscu lub samemu, lecz wówczas tylko w kościele lub w kaplicy, w sposób ciągły i z rozważaniami 5) pobożne odmówienie Koronki do Miłosierdzia Bożego przed Najświętszym Sakramentem.

Oprócz tych pięciu praktyk, które można wypełniać codziennie (daje to możliwość uzyskania odpustu zupełnego każdego dnia), Kościół wyznacza jeszcze wiele innych okazji związanych



źródło:unsplash.com

z uroczystościami, pielgrzymkami, miejscami świętymi, gdzie można taki odpust zupełny uzyskać. Są to m.in.:

- nawiedzenie wspólnotowe jednej z czterech patriarchalnych rzymskich bazylik (gdy indywidualnie, to należy wzbudzić w sobie akt synowskiego poddania papieżowi). W obu przypadkach odmówienie tam Ojcie nasz i Wierzę;

- pobożne przyjęcie błogosławieństwa papieskiego Urbi et orbi, choćby tylko przez radio;

- pobożne nawiedzenie cmentarza od 1 do 8 listopada i modlitwa na cmentarzu za zmarłych, choćby tylko w myśli;

- pobożna adoracja i ucałowanie krzyża w Wielki Piątek w czasie uroczystego obrzędu liturgicznego;

- udział w ćwiczeniach duchowych przez trzy pełne dni;

- pobożny udział w kilku naukach misyjnych i uroczystym ich zakończeniu

- nawiedzenie kościoła w Dniu Zadusznym lub w najbliższą niedzielę, lub w uroczystość Wszystkich Świętych i odmówienie w nim Ojcie nasz i Wierzę;

- odmówienie przyrzeczeń chrztu świętego w Wielką Sobotę w czasie nabożeństwa lub w rocznicę własnego chrztu świętego;

- pobożne uczestniczenie w nabożeństwie Gorzkich Żali raz w tygodniu w okresie Wielkiego Postu.

Modlitwa w intencjach Ojca Świętego – jakakolwiek. Co ważne, to nie ma być modlitwa w intencji papieża lecz w intencjach, które on nosi w sercu.

Co niezwykle ważne, papież bł. Paweł VI w Konstytucji apo-

stolskiej o odpustach, Indulgentiarum doctrina, zawarł następującą normę:

„Chrześcijaninowi bliskiemu śmierci, należycie usposobionemu, święta Matka Kościół łaskawie udziela odpustu zupełnego na godzinę śmierci, jeżeli brak kapłana, który by mu udzielił Sakramentów i błogosławieństwa apostolskiego z przywiązaniem odpustem zupełnym, [...], byleby ten wierny w ciągu życia miał zwyczaj odmawiania jakichkolwiek modlitw. Chwalebna rzeczą jest posłużenie się krucyfiksem lub krzyżem dla uzyskania tego odpustu zupełnego. W obliczu śmierci wierny może dostąpić tego odpustu zupełnego, chociażby już tego samego dnia uzyskał inny odpust zupełny”.

Odpusty częściowe można uzyskiwać wiele razy jednego dnia w zasadzie za każdą czynność pobożną wykonaną na zewnątrz (znak krzyża, nawiedzenie kościoła, używanie wody święconej), w mowie (akty strzeliste) lub w myśli (rachunek sumienia, rozmyślanie, itp.).

Spodobał Ci się ten tekst?

Masz własne zdanie?

Chesz o coś zapytać?



źródło:pixabay.com

Pokazywać i pielęgnować to, co Boże



z ks. bp. Markiem Solarczykiem rozmawia Jan Buczyński:

Jan Buczyński: Księżę Biskupie, rok 1918 to czas, gdy Polska wraca na mapę Europy. Jaka była rola Kościoła katolickiego w odzyskaniu niepodległości przez naszą ojczyznę?

bp. M. Solarczyk: Trzeba mieć świadomość, że jeżeli dotykamy roku 1918, to ostatecznie rzecz biorąc mamy do czynienia z różnymi etapami i w związku z tym różną rolą Kościoła na każdym z nich. Po pierwsze: to wszystko, co było do 1918 roku, a więc najogólniej mówiąc czas zaborów. I tutaj rzecz jest

chyba oczywista, że po prostu ludzie Kościoła (w rozumieniu najpierw węższym, czyli duchowni, duchowieństwo, życie konsekrowane) byli tymi, którzy towarzyszyli całej wspólnocie ochrzczonych tak naprawdę na każdym etapie wszystkich przeżyć. To były oczywiście elementy zbrojne, jak powstania, były elementy represji (zaczynając od zsyłek, idąc przez kasaty zakonów, czy likwidacje diecezji), był to czas zwyczajnej, wydawałoby się, normalnej pracy i normalnego życia. To przecież właśnie we wspólnocie Kościo-

ła, choćby w wielu parafiach i klasztorach, dokonywało się podtrzymywanie ducha polskości, patriotyzmu. Nie zapominajmy też o takich postaciach jak chociażby Rafał Kalinowski czy Brat Adam Albert Chmielowski, którzy rozpoczynali pewne swoje dzieła, odczytując nowe etapy. I wreszcie: ludzie Kościoła, nie wyłączając duchownych, byli tak naprawdę inicjatorami i opiekunami wielu pozytywnych dzieł, które chroniły to, co było wartością rodzin, które rozwijały różne aspekty gospodarcze, spółdzielcze, rzemieś-

nicze, ekonomiczne, kulturalne, oświatowe i inne.

JB: To wszystko pod koniec XIX i na początku XX wieku. A drugi etap?

MS: To oczywiście sam moment przełomu, czyli rzeczywistość lat 1917, 1918 – tak na prawdę aż do roku, powiedzmy, 1922. Bo to jest ten czas, gdy zwyczajna postługa duszpasterska w Kościele była niesamowicie cenna i ważna. Ona budowała to, co jest i zawsze będzie największym bogactwem dla człowieka, ona dawała siłę i nadzieję w trudnych chwilach – i tutaj nie sposób nie odwołać się do ogromnego dzieła duchowego i modlitewnego w okresie przed sierpniem 1920 roku oraz posługi wielu duchownych, i na froncie, i „na tyłach”.

Ale to jest też pewna rola, która dziś może wydawać się zupełnie zaskakująca, czyli ta stricte polityczna, zaczynając od postaci kard. Aleksandra Kakowskiego, właściwie przewodniczącego i członka Rady Regencyjnej, idąc przez bardzo wielu duchownych rzymskokatolickich i grekokatolickich (jeżeli chodzi o społeczność ukraińską – obywateli polskich), którzy byli zaangażowani w działalność polityczną również na poziomie parlamentu czy też Sejmu Ustawodawczego, biorąc pod uwagę

okres 1919-1922. Oczywiście to się wiązało z tym, że ci duchowni byli w swoich strukturach terenowych w wielu wypadkach liderami i autorytetami lokalnych społeczności. Duchowni bywali burmistrzami i prezydentami miast, członkami rad miejskich i gminnych itd. Jednocześnie warto zaznaczyć, że z biegiem czasu tej działalności stricte politycznej było mniej, na różnych szczeblach władzy, aż po parlament. To wszystko było dla duchownych, dla ludzi Kościoła (ale nie tylko) naturalną kontynuacją tego poprzedniego etapu z okresu zaborów.

JB: Było naturalne, ale chyba nie przebiegało bez różnych trudności?

MS: Te dzieła były dokonywane w bardzo trudnej sytuacji, biorąc pod uwagę chociażby dwa czynniki: po pierwsze ogromne zaniedbania w sferze socjalnej, bytowej, zwłaszcza po dużych zniszczeniach wojennych – tutaj troska o człowieka była niezwykle cenna. Pamiętajmy też o tym, że Rzeczpospolita Polska odzyskująca niepodległość tworzyła dopiero swoje struktury. To było państwo, które musiało zadbać też o pewne gwarancje terytorialne, a co najważniejsze: tak naprawdę musiało połączyć trzy organizmy. Bo, czegokolwiek byśmy nie mówili, jeśli

chodzi o zabory, to pewna specyfika ludności, pewne doświadczenia i bogactwo kultury tych rejonów, inne systemy prawne, również pewna specyfika, jeżeli chodzi o życie kościelne, różne tradycje – to wszystko było wyzwaniem, zaproszeniem, ale też i pewną okazją, żeby z tej różnorodności zrobić jedność.

JB: Kościół Katolicki musiał zmierzyć się też z obecnością innych wyznań i innych religii w II RP, bo przecież Polska tamtego czasu była wielokulturowa, wielonarodowa i wieloreligijna – dużo bardziej niż dzisiaj. Jak Kościół sobie z tym radził sto lat temu? Przecież takie pojęcia jak „ruch ekumeniczny” czy „dialog międzyreligijny”, które dziś są mocno obecne – wówczas dopiero się wykuwały, przynajmniej oficjalnie. Ale może na poziomie lokalnym, niższym, to już działało?

MS: Przy takiej okazji próbujemy zawsze precyzować rozumienie słowa „Kościół”. Najpierw będzie oczywiście kwestia hierarchii Kościoła, a później szeroko rozumianej wspólnoty. Myślę, że tutaj ostatecznie problem polega na tym, jakie my mamy skojarzenia. Punkt wyjściowy w tamtym momencie był bardzo prosty: ci ludzie żyli między sobą! Oni, w ich mentalności, żyli od zawsze między



Pomnik przedstawiający
powstańców warszawskich

źródło: pixabay.com

sobą. Był sąsiad katolik, ale był i prawosławny. Albo był protestant, bo na danym terenie była akurat społeczność niemiecka. Albo był przedstawiciel wspólnoty żydowskiej. Przecież niejednokrotnie w wielu miejscach, bliskich również tutaj Warszawy, mówiło się o wielu miejscowościach, w których był na przykład jeden kościół i dwie synagogi. Ci ludzie byli, mieszkali, żyli ze sobą na co dzień. Pewne reguły, zwyczaje, były jakby naturalne: obok siebie mieszkano, szanowano swoje zwyczaje, tradycje.

Myślę, że jednym z przykładów takiej normalnej i naturalnej koegzystencji jest doświadczenie, które później zostało wypracowane w Wojsku Polskim.

Struktury wojska zapewniały żołnierzowi każdego wyznania i każdej religii opiekę duszpasterską. Co więcej: szacunek dla jego tradycji i zwyczajów. Jeżeli to byli Żydzi – to było jedzenie koszerne. Jeżeli to byli przedstawiciele różnych wyznań chrześcijańskich – szanowano właściwe dla nich święta. Pamiętam refleksję jednego z profesorów, specjalisty od wojskowości tego okresu, który z zachwytem mówił, że dowódca jednostki miał obowiązek respektować, a nawet więcej: uczestniczyć w różnych świętach swoich żołnierzy, biorąc pod uwagę ich różnorodność, bo to byli żołnierze Wojska Polskiego, którzy służyli w nim z miłości do ojczyzny – ale jednocześnie oni mieli swoją

tożsamość religijną, a w związku z tym wynikające z niej zwyczaje i kulturę. Kiedy patrzymy na mogiły obrońców, chociażby tych z roku 1920, to widzimy na nich i krzyże łacińskie, i krzyże prawosławne, i nagrobki z Gwiazdą Dawida.

Oczywiste jest, że w tamtym okresie były też obecne przypadki biegunów skrajnych: takich, gdzie była rozwinięta w niesamowity sposób współpraca, jedność, żeby nie powiedzieć wręcz: zażyłość, bawili się razem dzieci – ale były też przykłady przeciwne, gdzie było niezrozumienie czy wręcz agresja wobec siebie. Ale ostatecznie np. w parlamencie mieli zagwarantowane miejsce przedstawiciele wszystkich

społeczności (i rzeczywiście tam byli jako wyraziciele swoich wrażliwości, tożsamości). To później, po latach zaowocowało takimi postawami jak historia łódzkiego duchownego ewangelickiego, który odmówił na początku II wojny światowej podpisania Volkslisty, bo powiedział władzom niemieckim, że jest Polakiem, a nie Niemcem, bo urodził się w Polsce, ona go wychowała, dlatego jest stąd. To pokazuje, że ten proces jedności naprawdę był trwały.

JB: Wspomnieliśmy nazwisko kardynała Kakowskiego. Jako arcybiskup wszedł w skład Rady Regencyjnej – dlaczego? Czy nie było to dla nikogo zaskoczeniem? A może przeciwnie: niektórzy intuicyjnie oczekiwali tam obecności przedstawiciela strony kościelnej, choćby mając na uwadze dziedzictwo Prymasów-Interreksów?

MS: Pamiętajmy, że abp. Kakowskiemu przysługiwał również tytuł Prymasa Królestwa Polskiego – i rzeczywiście on w tamtym momencie naszych dziejów i przeobrażeń politycznych pełnił po prostu funkcję interreksa. Nie zapominajmy też, że tymczasowa Rada Stanu, która została powołana przez władze pruskie i austro-węgierskie, kiedy tereny warszawsko-lubelskie Kongresówki zostały

przejęte i odebrane spod panowania i jurysdykcji Rosji carskiej, zakończyła swoją misję i po to, żeby nie zaprzepaścić dotychczasowego, kilkumiesięcznego etapu tworzenia struktury niezależnego aparatu państwa (którego jeszcze nie było!), stworzono właśnie Radę Regencyjną, której przewodniczącym został po prostu Arcybiskup Warszawy. Abp Kakowski to był człowiek, który w Warszawie, nie tylko przez swoją znaczną posturę (śmiej), był kojarzony z gwarantem, że to wszystko, co będzie dalej realizowane, będzie służyło dobru wspólnemu. I tak na to patrzmy, biorąc pod uwagę również te wcześniejsze etapy jego aktywności, zaangażowania – ale ostatecznie rzecz biorąc, tak naprawdę powszechnego zaufania: że skoro jemu to powierzono, to on też przyjął na siebie odpowiedzialność za ten moment dziejów Polski, który się realizował wówczas w Królestwie Polskim, przez Radę Regencyjną.

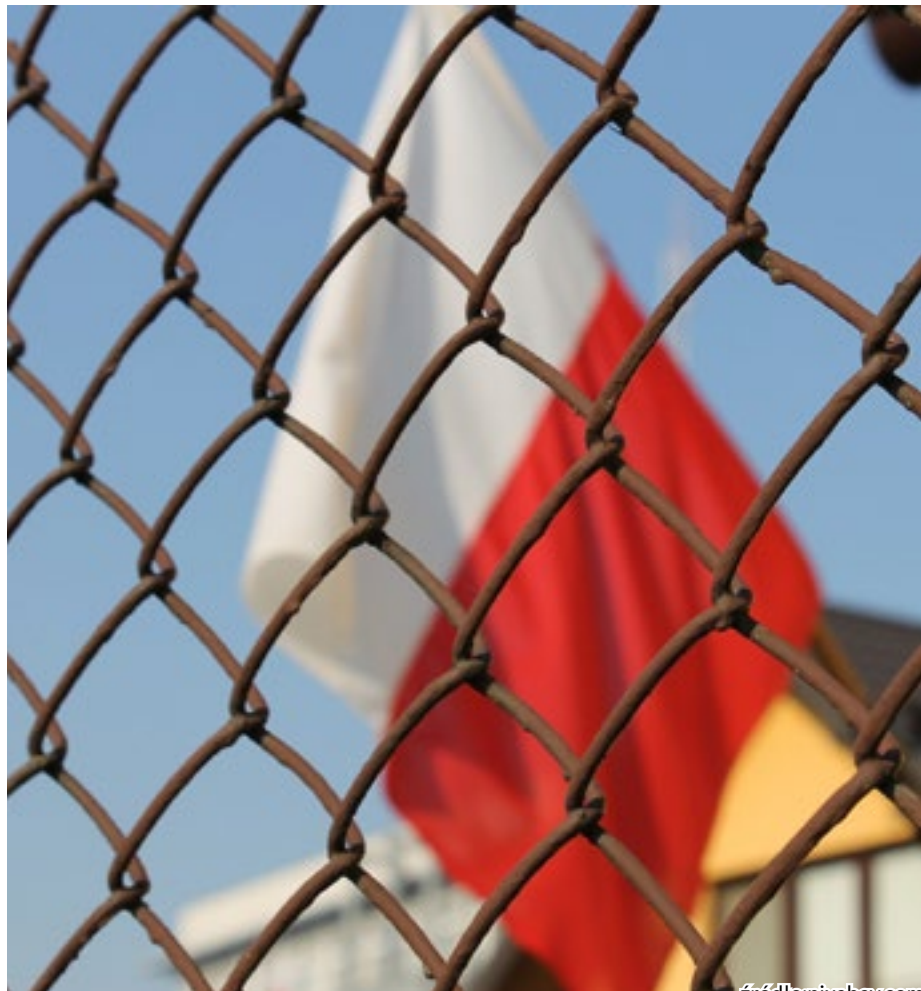
JB: Jednak dziś coś takiego byłoby nie do pomyślenia. Co stało się w międzyczasie, spytam używając modnego sloganu: „komu to przeszkadzało?”, że Kościół wprowadził zasadę, żeby duchowni nie uczestniczyli wprost we władzy państwowej i nie zasiadali w partiach politycznych?

MS: „Komu to przeszkadzało?” (śmiej) Myślę, że odpowiedź jest bardzo prosta i zarazem piękna. Trzeba się cofnąć jeszcze wcześniej, bo pewnym symbolicznym momentem jest encyklika Leona XIII *Rerum novarum* z 1891 roku, która pokazuje, że rozwija się kwestia obywatelska, chociaż akurat ta encyklika odwołuje się do przestrzeni robotniczej, do kwestii społecznej, ale szeroko rozumianej. Przeobrażenia ówczesnego świata przyniosły zupełnie inną konstrukcję życia społecznego. To już nie są tylko władcy, przywódcy, rody możne, arystokracja, szlachta – to po prostu jest człowiek. Człowiek, który jako podmiot w życiu społecznym jest obywatelem, którego trzeba wziąć pod uwagę, ale który też chce mieć wpływ na to, co się dzieje. Jeśli popatrzymy na to z takiej perspektywy, to w 1918 roku mamy prawie 30 lat od ogłoszenia *Rerum novarum*. U nas, przez czas zaborów, przebiegało to nieco innym rytmem. To jest jeden z elementów, które trzeba wziąć pod uwagę.

Jeżeli chodzi o rolę duchownych, to zanim sięgniemy do lat 60. XX wieku, przywołajmy jeszcze rok 1917 i ogłoszenie Kodeksu Prawa Kanonicznego, tego pierwszego już spisane-go w pełnej wersji dla Kościoła, który już wówczas jasno formułował, że duchowni, jeże-

li jest taka potrzeba, mogą się zaangażować w sprawy natury prawnej (jako notariusze, urzędnicy), mogą się też angażować w publiczne życie polityczne (jako parlamentarzyści czy inne osoby działające w systemie władzy państwowej), ale – uważa! – jednocześnie jasno było przypomniane, że tylko za zgodą odpowiedniej władzy. Stwierdzono więc, kto ma orzekać, czy w przypadku tego konkretnego człowieka, tego czasu, zadań, które stoją przed społecznością, jest on rzeczywiście potrzebny w takiej roli. W Polsce, w parlamencie pierwszej kadencji, wyłonił się w 1922 roku, gdy papieżem był Pius XI (wcześniejszy nuncjusz apostolski w Warszawie, Achille Ratti), przypomniał on o obowiązywaniu tego kanonu – i wówczas, w odróżnieniu od Sejmu Ustawodawczego (1918-1922), w którym na początku było ponad trzydziestu duchownych katolickich, już zdecydowanie mniej duchownych katolickich było zaangażowanych w działalność stricte polityczną, partyjną. Ich biskupi diecezjalni orzekli: nie ma takiej potrzeby, bo są przedstawiciele świeccy, którzy spokojnie to dzieło mogą podjąć.

Kardynałowi Kakowskiemu nikt wówczas nie zarzucał ani „rozpolitykowania”, ani bierności – był człowiekiem, który podjął członkostwo w Radzie



źródło: pixabay.com

Regencyjnej, bo uznał, że wtedy była taka potrzeba. Ale później był po prostu Arcybiskupem Metropolitą Warszawskim. Podobne postawy prezentowali inni kardynałowie polscy, jak kard. Dalbor czy kard. Hlond.

JB: A patrząc na ówczesny Episkopat Polski – czy były w nim jakieś trudności w dojściu do zjednoczenia się z trzech zaborów? Na początku I Wojny Światowej w zaborze rosyjskim modlono się w kościołach za cara – ale w Wielkopolsce biskupi stali listy wiernopoddańcze do cesarza, o treściach zdecydowanie antyrosyjskich. Jak wyglądało zjednoczenie polskich

biskupów w jednym organizmie kościelnym i administracyjnym?

MS: Myślę, że o wiele mocniejszym doświadczeniem było to, gdy Polacy, wcieleni do różnych armii zaborczych, musieli stanąć przeciwko sobie na froncie wojennym. Skoro to umiano później przezwyciężyć i spotkać się w jednej armii polskiej, i walczyć wspólnie w obronie wolnej ojczyzny – Episkopat tym bardziej zjednoczył się w jednym ciele. Trzeba tu oczywiście odróżnić lojalną realizację nakazów władzy zaborczej od tego, kim biskupi byli w swojej tożsamości – a byli oni nie tylko księżmi, ale również Polakami.

JB: Jaka jest dziś, po stu latach, rola Kościoła w pielęgnowaniu naszej niepodległości? Czy to w ogóle leży w kręgu jego dzisiejszego zainteresowania, czy jest raczej gdzieś na marginesie, wyparte przez inne obszary?

MS: Można na to odpowiedzieć wielowątkowo. Po pierwsze, troska szeroko rozumianej wspólnoty Kościoła, pod kierownictwem duszpasterzy, jeżeli chodzi o niepodległość, która tak naprawdę zaczyna się od troski o każdego konkretnego człowieka. Od tego, na ile człowiek sam siebie szanuje, na ile chce rozwinąć pewne wartości i pewne dary, które są w nim – na ile po prostu będzie odpowiedzialnym, dojrzałym, „porządnym” człowiekiem. Jeśli ta troska będzie – a staramy się, żeby była – całe nasze życie duchowe służy między innymi i temu, żeby nasze człowieczeństwo było przeżywane jak najpiękniej, oczywiście z mocnym zaakcentowaniem tego, co leży w mocy Boga i co jest Jego tajemnicą.

Druga rzecz: to jest to wszystko, co służy społeczeństwu państwa polskiego, co służy jego umacnianiu – zaczynając od rodzin, kończąc na pojedynczym człowieku i tym, co nazywa się postawą obywatelską. Jeżeli chronimy i wspieramy

rodziny, one będą taką postawę dalej wspierały i realizowały.

Trzecia przestrzeń, jeszcze szersza, jest wprost przypomnieniem etosu obywatelskiego: że ja nie tylko jako człowiek coś przeżywam i troszczę się o moich najbliższych – ale wiem, że jestem uczestnikiem dużej społeczności, która jest wpisana w moje państwo. Jestem obywatelem tego państwa, które jest dla mnie ważne. Niezwykle istotny jest też element tradycji i historii, wpisanej w związek z tym w moje życie, w moją rodzinę. Mam na to wszystko wpływ, a więc nie jestem tylko odbiorcą. Ojciec Święty Franciszek, gdy ostatnio mówi o młodych ludziach, to właśnie jako o tych, którzy mają podjąć tę odpowiedzialność i nieść w sobie pragnienie, chęć, gotowość do kształtowania i wpływania na świat, który ich otacza.

JB: Wśród młodych ludzi można zauważyć tendencję do większego zainteresowania patriotyzmem, historią. W jaki sposób młody człowiek może poradzić sobie z tym swoistym rozdwojeniem chrześcijanina, który wie też o tym, że – jak pisał św. Paweł – „nasza ojczyzna jest w niebie”, że kiedyś nasze ziemskie doświadczenie się skończy i będziemy w innej rzeczywistości, gdzie spotkamy się z ludźmi z innych ojczyzn – razem, w jed-

nej rodzinie?

MS: I wtedy wszystko wyjaśni nam to, co wyraża słowo: miłość. To jest słowo-klucz: i do wspólnoty, i do jednej ojczyzny, i do jednej rodziny. To jest inspiracja, jak to rzeczywiście wtedy będziemy rozumieć...

Kiedy mówimy o większym zainteresowaniu tematyką patriotyczną wśród młodych ludzi, przywołam jeszcze jeden aspekt. To się wyraża w pewnej trosce, żebym ja osobiście znalazł i odkrył moje własne korzenie, korzenie mojej rodziny. Wielokrotnie sam to przeżywałem i odkrywałem w różnych archiwach i w kancelarii katedralnej, gdy poszukując moich korzeni i schodząc coraz dalej do moich przodków, widziałem w sobie pragnienie pewnej troski, że chcę być świadomym tego dziedzictwa i bogactwa, które są we mnie wpisane. I tutaj jest konkretna odpowiedź na pytanie: jak to jest, że jesteśmy tutaj, a ojczyznę mamy w niebie?

Posłużę się pewnym porównaniem. Czasami słyszymy, że ojczyzna to jest matka. Matkę się szanuje, rodziców się szanuje, kocha. Ale oczywiste jest, że przychodzi taki moment, że dziecko idzie dalej. To jest pewien obraz: jesteśmy tutaj, przeżywamy, szanujemy, czerpiemy, jesteśmy ubogacani – ale wiemy, że to wszystko jest tak na-

prawdę pewnym etapem, który ma nas doprowadzić do czegoś wyższego. Bez tego fundamentu może być o wiele trudniej.

Zobaczmy, co pisali pierwsi pisarze chrześcijańscy: choćby sławetny List do Diogneta, który daje opis tego, kim jest chrześcijanin w świecie. Pokazuje to swoiste zdziwienie, że jest to człowiek wpisany w konkretne miejsce tu na ziemi, podejmujący wszelkie naturalne i oczekiwane od niego różne obowiązki w świecie – jednocześnie on siłę do tego czerpie właśnie z tego, że potrafi dostrzec, tęsknić, dążyć poprzez to, co przeżywa tutaj, do czegoś, co jest wiecznością!

JB: Co młody katolik ma zrobić, gdy słyszy z różnych

stron o „politykujących księżach” – i co ma zrobić, gdy sam z ambony w swoim kościele słyszy treści o zabarwieniu politycznym lub wręcz partyjnym? Czy ksiądz może manifestować swoje poglądy polityczne? Gdzie leży granica?

MS: Trzeba wspomnieć o dwóch założeniach. Po pierwsze, czymś oczywistym i uniwersalnym jest to, że człowiek żyje w świecie wartości i ważne są te z nich, które rzeczywiście powinny być pielęgnowane, wykonywane, realizowane. One są w różny sposób przypomniane, realizowane, egzekwowane, opisywane – również poprzez pewne formy zaangażowania politycznego. To, co jest oczywiste i to, co jest wpisane w naszą

rzeczywistość: że szerokim depozytem Kościoła jest to, co Pan Bóg mu ofiarował, co jest wartością Bożego życia, ale i równocześnie życia, które kształtuje i rozwija tak człowieka, że z perspektywy katolika czy chrześcijanina jest oczywiste, że ja chce rozwinąć moje podobieństwo do Boga, to wszystko, co jest Jego darem dla mnie. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości, że w Kościele to nie może nie być obecne, nie może być zapomniane. W związku z tym przypomnienie o wartościach, zasadach, które będą temu służyły – zaczynając od naturalnego prawa jak życie, idąc przez duchowe rzeczy, gdzie ja jako duchowny, dostrzegając pewne zachowania ludzkie, dostrzegam również pewne tajemnice duchowe



źródło:unsplash.com

i mówiąc o nich, akcentuję rzeczywistość duchową – to jest wręcz niemożliwe, żebym ja to zaniedbał!

JB: Przypominanie o wartościach to jedno – ale katolicy świeccy w naturalny sposób mają różne preferencje polityczne, a przychodzą do jednego kościoła, uczestniczą w jednej Mszy, którą odprawia jeden kapłan. Czasami się zdarza, że wtrąca on, np. do homilii, wątki typowo polityczne.

MS: Tak, dlatego drugie założenie to jest świadomość, że my, jako ci, którzy przyjęli święcenia kapłańskie i stali się kapłanami Jezusa Chrystusa, za każdym razem, kiedy chociażby sprawujemy Mszę Świętą (to jest najbardziej uniwersalne doświadczenie), wypowiadamy słowa Jezusa: „To jest Ciało Moje, za was wydane” – tam nie ma żadnych dopowiedzeń! Tam jest każdy, po prostu każdy. Zaczynając od tego, kto wypowiada te słowa (kapłana), idąc przez tych, którzy słyszą te słowa, uczestnicząc w liturgii, ale poprzez bogactwo tego sakramentu tak naprawdę każdy jest włączony w tę tajemnicę. O tym nie możemy zapomnieć, że kapłan jest sługą tych Bożych tajemnic – dla każdego. Jestem przekonany, że duchowni, mówiąc te słowa i pamiętając, co niosą, za

co odpowiadają i w imię Kogo odpowiadają (w czasie święceń kapłańskich nie ma przecież żadnego uwarunkowania, kiedy mogę to zawiesić), pamiętają też właśnie o tym: że są dla każdego, bez wyjątku.

To jest moje zwyczajne skojarzenie jako księdza: kiedy jestem wpisany w parafię, idę po ulicy, rozpoznaję ludzi, których widziałem w kościele, spotykam ich w czasie wizyty duszpasterskiej, mam okazję poznać, zobaczyć – i to jest oczywiste – różnorodność w ich drodze życia, w ich drodze wiary, ale również w ich drodze odkrywania tego, co ich otacza. Ja mam być tym, który przede wszystkim będzie chronił to, co jest Boże. Zbyt nie zaangażowanie czy – tym bardziej – wykorzystanie świętych czynności do takiego działania, które będzie bardziej wspólne z wykładem, z konferencją, albo wręcz z działaniem stricte politycznym, agitacyjnym, jest po prostu niedopuszczalne. Nie uchodzi! I to jest element pewnego wyzwania, przed którym stoimy.

Przy okazji, skoro rozmawiamy w perspektywie października i listopada: nie sposób nie odwołać się w tym momencie do bł. ks. Jerzego Popiełuszki. Niektórzy słuchając go, widzieli w tym politykę. Ale ostatecznie rzecz biorąc, on mówił do konkretnego człowieka. Mówił do ludzkie-

go serca – mówiąc o tym, co Bóg wpisał, co jest wpisane również w tym drugim człowieku. Jego hasło, Pawłowe sformułowanie „zło dobrem zwyciężaj”, swoisty symbol ks. Jerzego, do tego właśnie nawiązuje.

JB: Czy ksiądz może mieć poglądy polityczne? Czy może je wyrażać? W epoce mediów społecznościowych zdaje się, że nie zawsze można dostrzec granicę między poglądami prywatnymi a głoszonymi publicznie. Niektórzy twierdzą, że ksiądz (tak jak każdy obywatel) może promować swoje sympatie polityczne w internecie, trochę tak jak np. na kawie ze znajomymi – inni uważają, że jest to nie na miejscu, obojętnie po której politycznej stronie te sympatie się lokują.

MS: Jestem księdzem ponad 26 lat. Z całą świadomością i z całym przekonaniem mogę powiedzieć: nigdy nie uprawiałem polityki w moich działaniach stricte duszpastersko-religijnych. Jedyny wyjątek to gdy wykładałem kiedyś „współczesną myśl polityczną” na jednej z uczelni na studiach podyplomowych (śmiech). Z drugiej strony, po tylu latach bycia wpisany w środowisko kapłańskie, mogę też powiedzieć, że ogromna większość kolegów, znajomych księży, tych, których



źródło: pixabay.com

spotykam, naprawdę nie podejmuje tych tematów.

JB: Znowu wrócę w takim razie do konkretnego człowieka, który trafi akurat na duchownego, który w jego odczuciu tę granicę przekroczył – co ma zrobić?

MS: Jeżeli mówimy o młodym człowieku, który ma takie doświadczenie, to myślę, że dobrym rozwiązaniem może być doprowadzenie do tego, żeby w takiej lub innej formie (np. poprzez maila czy osobistą rozmowę) po prostu przyjsć i powiedzieć o swoich odczuciach: że jeżeli chodzi o ten moment, to mnie to nie pomogło w moim przeżyciu wiary – z większym

zaakcentowaniem właśnie tego, że ja oczekuję od księdza pomocy w moim kontakcie z Panem Bogiem, niczego innego.

Oczywiście ja jako duchowny (tym bardziej jako biskup), gdziekolwiek się wypowiadam, muszę mieć świadomość, że to nie będzie przyjmowane przez innych jako „Marek Solarczyk”, tylko jako „biskup Marek Solarczyk” i ja za to biorę odpowiedzialność. Tym bardziej, gdy to ma zasięg internetu i mediów społecznościowych. Dlatego staram się skupić na tym, co najważniejsze: na pielęgnowaniu tego, co jest Bożą tajemnicą w człowieku, co jest szukaniem Jego obecności, Jego wskazań, Jego działania.

Bp Marek Solarczyk (ur. 1967), biskup pomocniczy warszawsko-praski, doktor historii Kościoła, specjalizujący się w udziale duchownych katolickich w pracach Sejmu RP pierwszej kadencji (1922-1927), przewodniczący Rady ds. Duszpasterstwa Młodzieży KEP, katecheta w Liceum Ogólnokształcącym im. Władysława IV w Warszawie.

*Spodobał Ci się ten tekst?
Masz własne zdanie?
Chesz o coś zapytać?*

Wszystko ku chwale Boga!



Konrad Myszkowski

Tegoroczny listopad to miesiąc szczególny ze względu na przypadającą setną rocznicę odzyskania niepodległości przez Polskę. Bliskość tak ważnej rocznicy skłania do namysłu nad historią naszej Ojczyzny, jednak w obliczu nasilenia postaw antyklerykalnych coraz ciężiej jest rzetelnie ocenić rolę, jaką odegrało w niej duchowieństwo katolickie. Tymczasem nie można zapomnieć o roli nie tylko tych najbardziej znanych duchownych – jak św. Jan Paweł II, kard. Wyszyński, bł. ks. Popiełuszko czy ks. Skorupka – ale również rzeszy prostych księży, których codzienna praca i wiara umacniały naród polski w różnych momentach dziejowych.



źródło: pixabay.com

I wojna światowa to czas zakończonej sukcesem walki o niepodległość Polski, ale również cierpienie ludności cywilnej – głodu, epidemii, zniszczeń związanych z działaniami wojennymi. Szczególnie odczuwali to mieszkańcy miejscowości położonych w pobliżu linii frontu. Właśnie w takiej sytuacji znalazły się galicyjskie Gorlice jesienią 1914 r., kiedy front wschodni ustabilizował się na linii rzeki Ropy, dzieląc miasto na dwie części. Gdy

władze cywilne opuściły miasto, ludność powierzyła funkcję burmistrza człowiekowi cieszącemu się największym zaufaniem – ks. Bronisławowi Świeykowskiemu. „Skłoniło mnie do tego postanowienia moje kapłańskie powołanie, które mi każe chrześcijańską miłość bliźniego nie tylko słowy głosić, ale i czynami okazywać” – pisał po latach ks. Świeykowski w swoim pamiętniku wydanym pt. *Z dni grozy w Gorlicach*.

Na okres pełnienia obowiązków burmistrza przez ks. Świeykowskiego złożyły się najcięższe chwile w historii Gorlic. Najpierw były to wspomniane 126 dni grozy – czas zimowej okupacji w pobliżu frontu naznaczony ciągłymi drobnymi potyczkami, ostrzałami artyleryjskim i rabunkami ze strony żołnierzy. Dni grozy zakończyło przełamanie frontu przez wojska osi w toczącej się w dniach 2-5 maja bitwie pod Gorlicami. Bitwa, uznawana



źródło:unsplash.com

za jedno z najważniejszych starć I wojny światowej, doprowadziła do totalnego zniszczenia i tak mocno zdziśiatkowanego miasta, toteż po przejściu frontu rozpoczął się trudny okres odbudowy.

Przez cały ten czas ksiądz-burmistrz Bronisław Świeykowski angażował się z niezwykłą energią w pomoc mieszkańcom. Podczas okupacji niestrudzenie objeżdżał okoliczne wsie i gospodarstwa w poszukiwaniu pożywienia dla Gorliczan, organizował również pomoc medyczną dla chorych i rannych. Nie było w tym jednak nic zaskakującego, gdyż ks. Bronisław od zawsze był człowiekiem pełnym pasji i energii. Jeszcze przed wstąpieniem do seminarium rozpoczął karierę wojskową, którą przerwał wypadek konny skutkujący częściowym paraliżem twarzy. Już jako kapłan interesował się z kolei naukami przyrodniczymi i technicznymi – jako pierwszy mieszkaniowiec Gorlic posiadał ra-

diodobornik, a także kolekcję motyli (ponad 20 tys. sztuk!) i kilka żywych zwierząt, w tym małą krowę, która w czasie bitwy gorlickiej uratowała mu życie. Nigdy nie stronił również od aktywności społecznej.

Liczne zainteresowania i zaangażowania nie przesłoniły jednak księdzu Bronisławowi wiary – wręcz przeciwnie, modlitwa i ufność Bogu stanowiły zawsze podstawę jego szerokiej aktywności. Pięknym świadectwem były słowa, jakimi odpowiedział niemieckiemu generałowi, które sugerowały, że należy mu się krzyż żelazny: „dość krzyżów dźwigałem jako burmistrz, te mi się należą jako katolickiemu kapłanowi”. Zachowane źródła potwierdzają, że ks. Świeykowski codziennie – nawet podczas okupacji i bitwy – znajdował czas na odprawienie mszy świętej, co czynił bez pośpiechu i w skupieniu. Pomagając ludziom, zawsze pamiętał o najważniejszym – o ich

kondycji duchowej, co potwierdza przepiękny wpis z cytowanego już wcześniej pamiętnika: „W dniu 6 października nie miała radość przypadła mi w udziale: ciężko chory na dezynterię Karol Rupić z pułku piechoty nr 7 rodem z Innerteichen w Karyntii, wyznania augsburskiego, złożył wyznanie wiary i w 10 dni potem umarł jako katolik z prawdziwie budującą pokorą”.

Warto pamiętać o kapłanach takich jak ks. Bronisław Świeykowski. Warto stawiać ich za wzór i przywoływać w czasie, gdy księża są coraz bardziej zawzięci atakowani i ośmieszani. Warto odpowiednio uhonorować pamięć ks. Bronisława w roku 100-lecia odzyskania niepodległości, bo gdyby nie tacy jak on, historia mogłaby potoczyć się inaczej. Warto również – i dotyczy się to nie tylko księży, ale nas wszystkich – poznać lepiej postać ks. Świeykowskiego i uczyć się od niego poświęcenia, pokory, patriotyzmu, pracowitości, zaangażowania, a nade wszystko – stawiania Boga zawsze na pierwszym miejscu.

Spodobał Ci się ten tekst?

Masz własne zdanie?

Chesz o coś zapytać?

Percepcja śmierci w okresie średniowiecza



Michał Gójski

Panujący w okresie wieków średnich teocentryzm słuszenie zwracał myśli ludzkie ku rzeczom Bożym. Powodowani pragnieniem szybkiego zjednoczenia ze Stwórcą Europejczycy traktowali zatem śmierć jako bramę nowego życia – życia wiecznego. Ich sposób rozumowania, objawiający się w dziełach kultury traktujących o śmierci, jest dla nas szczególnie pomocny we wciąż pogłębianej refleksji o percepcji śmierci wśród naszych przodków.



źródło: wikicommons.com

Wspomniałem już o poglądzie zwanym teocentryzmem. Głosił on, że to Bóg jest w centrum wszechświata i to On, jako Byt najdoskonalszy, powinien być adresatem wszystkich podejmowanych przez człowieka czynności. Z tego też powodu dzieła kultury, traktujące o śmierci, nieustannie przypominają nam o Jego roli w życiu jednostek i społeczności. Egzystencja każdego jest bowiem uzależniona od woli Stwórcy, wobec którego jesteśmy poddani. Panujący w ówczesnej Europie uniwersalizm, objawia-

jący się również w wyznawaniu jednej religii, sprawiał, że mieszkańcom starego Kontynentu o wiele łatwiej było zrozumieć śmierć, biorąc pod uwagę wskazania religii. Korzeniami głoszonej przez Kościół nauki o potrzebie pogodzenia się ze śmiercią były fragmenty Pisma Świętego: „Marność nad marnościami i wszystko marność” (Koh 1, 2) czy „Nie bójcie się tych, którzy zabijają ciało, lecz duszy zabić nie mogą. Bójcie się raczej Tego, który duszę i ciało może zatracić w piekle” (Mt 10, 28). Człowiek wierzący uzna-

wał za rzecz konieczną takie postępowanie, aby móc umrzeć w zgodzie z Bogiem, nawet za cenę ponoszonych w życiu doczesnym trudów.

Legenda o świętym Aleksym

Utwór pochodzący z XV wieku wyraża pochwałę człowieka opuszczającego dobytek i rodzinę, aby całkowicie poświęcić się Bogu. Zaślubionej kobiecie oddał pierwszej nocy pierścień, prosząc ją, by sama zajęła się pomaganiem ubogim i zachowywaniem czystości. Zasadni-



źródło: wikicommons.com

czą warstwę utworu stanowi apoteoza cnotliwego i pełnego wyrzeczeń życia. Jest to życie ascety, który był jednym z podstawowych wzorów osobowych w średniowieczu. Postawa ta jest wyrażona także w opisie śmierci św. Aleksego i wydarzeń jej towarzyszących. Zaczynają bić dzwony, ku ciału zmarłego, który kilkanaście ostatnich lat swego życia spędził pod schodami, wyrusza procesja na czele z papieżem, duchowieństwem i możnymi tego świata.

Święty Aleksy, postać na wpół legendarna, stał się bohaterem tak znacznego utworu (popularnego zresztą nie tylko na ziemiach polskich), ponieważ świadomie zrezygnował z dóbr tego świata, wyrzekając się swego pochodzenia, co po-

zwoliło mu zyskać coś znacznie cenniejszego – duchową doskonałość. Z opowieści o nim dowiadujemy się, że pociągnął do Boga także swoją żonę, co tym bardziej podkreśla jego poświęcenie się Bogu. Święty stał się więc przykładem dobrej śmierci. Pogodzony ze światem, tj. rezygnujący z jego uciech, skłaniał do podobnego postępowania innych ludzi. Ci zaś, którzy zapoznali się z legendą o nim, mogli podjąć się podobnych wyrzeczeń, aby zjednoczyć się z Bogiem. W świetle tych faktów, śmierć świętego Aleksego, tak poniżająca, nie jest czymś odrzucającym dla ludzi średniowiecza. Przeciwnie, dysponując jej opisem, możemy stwierdzić, że właśnie takiej śmierci chcieliby ludzie naprawdę żyjący we-

dług Bożego prawa. Okazała się być ona bramą do życia wiecznego, do rozbudzenia w ludziach prawdziwie pobożnych praktyk.

Motyw danse macabre

Tłumaczy się go różnie. Jedni skłaniają się ku „Tańcowi śmierci”, inni jeszcze dobitniej podkreślają, że chodzi o „Tańiec trupów”, a w dosłownym tłumaczeniu staniemy przy wersji „Tańca makabrycznego (straszego)”. Motyw ten późno, bo około XIV wieku, zagościł w sztuce średniowiecza. Podejmowany przez wielu twórców, na czele z późniejszym Hansem Holbeinem, miał wyrażać nieuchronną konieczność śmierci. Dotykała ona wszystkie stany. Często widocznym momentem

na drzeworytach czy innych formach ekspresji artystycznej stała się chwila spotkania śmierci z możnymi tego świata, na czele z papieżami czy królami. To właśnie wielu ludziom dodawało otuchy, bowiem przedstawienie króla i biedaka obok siebie, obu prowadzonych przez śmierć, było zapewnieniem o zrównaniu wszystkich stanów. Śmierć objawiała się więc tutaj jako element Bożej sprawiedliwości.

Motyw memento mori

Sztuka średniowiecza obfitowała w przypomnienia o nieuchronnej konieczności śmierci. Liczne wezwania do cnotliwego życia pojawiały się w królewskich modlitewnikach, obrazach mistrzów, kazaniach papieży czy komunałach wiejskich kaznodziejów. Wszyscy wzywali do czujności, odwołując się do popularnej w średniowieczu gry w szachy. To właśnie ona jest wymowną metaforą członków społeczeństwa, uszeregowanych zgodnie z ówczesną hierarchią, toteż łatwo trafiało do umysłów wielu. Najczęściej prezentowano człowieka i Śmierć grających o najwyższą stawkę – życie. Nikt jednak nie może oprzeć się sprytowi Śmierci.

W kościele w Täby (Szwecja) jedno z malowideł powstałych w 1480 roku przedstawia



Malowidło w kościele w Täby
- "Śmierć grająca w szachy"
pędzla Albertusa Pictora

Źródło: wikicommons.com

niebывałą parę. Oto mężczyzna, dobrze ubrany – co może sugerować jego dobrą pozycję społeczną – usiadł do stołu z trupem. Przerażony umiejętności swego nieżywego przeciwnika może tylko patrzeć, jak tamten pozbawia go coraz to kolejnych figur. Autor, Albertus Pictor, chciał dzięki temu dziełu zobrazować dramatyczną konsekwencję życia bogatego w doznania – niespodziewany pojedynek ze Śmiercią kończy się bowiem w każdej sytuacji

śmiercią człowieka.

Memento mori pojawia się także w połączeniu z szachami w innych przypadkach. Podobno sam papież Innocenty III, przed połową XIII wieku, w jednym ze swoich kazań (Quadedam moralitas de scaccario) użył tego porównania. Wyraził on przekonanie, że „[diabeł] w tej grze powie <<szach>> wystrzeli strzałę grzechu na tego, kto czujnie nie odeprze szacha pokutą i żalem serca, diabeł powie <<mat>> i ściągnie jego duszę do Tartaru,



skąd nie będzie wyswobodzenia przez modlitwę” (cyt. i tłum. za K. Juel, *Defeating the Devil at Chess* [...]). Papież wzywa więc do pamiętania o śmierci, przedsięwzięcia odpowiednich środków, zanim będzie za późno.

Jak śmierć przychodzi?

Śmierć, gość niespodziewany... Średniowiecze obfituje w artystyczne przedstawienia momentu jej nadejścia. Mówiło się, że mors certa, hora incerta – „śmierć pewna, godzina niepewna”. Nikt nie wiedział, kiedy przyjdzie mu oddać własne życie, stąd częste praktyki pokutne, mające wyjednać przebaczenie grzechów i życie wieczne. Wyróżniano bowiem

dwa rodzaje śmierci: pierwszy, czyli śmierć cielesna, jako następstwo grzechu pierworodnego, była nieunikniona. Drugi zaś, śmierć duchowa, będąca „rodzajem śmierci bez śmierci” (D. Rywиковá, Uniwersytet Ostrawski), musiał być tragiczniejszy. Wszyscy wierzący chcieli go jednak uniknąć. Stąd wynikały liczne, wspomniane już, praktyki pokutne, stąd zainteresowanie twórców tematami eschatologicznymi, stąd wreszcie wezwanie Soboru Laterańskiego IV do spowiedzi przynajmniej raz w roku.

Moment śmierci nadal był jednak niepewny. Dramatyzmu dodały do tego zarazy panujące w Europie średniowiecznej. Czarna śmierć wywołała

falę pokuty, a z drugiej strony – ogromną chęć zażywania życia. Wszystkich łączyło jedno – mors improvisa. Śmierć nagła, bez dopełnienia odpowiednich rytuałów, pozbawiająca umierającego sakramentów, była już odarta z tajemnicy. Nikogo nie gorszyło, że inny umierał na drodze, bowiem tego dnia on sam mógł już leżeć na marach.

Na przestrzeni wieków, a zwłaszcza na początku renesansu, dodano do przedstawień śmierci elementy groteskowe, ale i przepojone erotyzmem postaci, chcąc niejako połączyć używanie tego świata czy rozpustę z koniecznością nagłego oddania życia. Świat współczesny nadał śmierci charakter zupełnego końca. Pozbawiając ją wymiaru eschatologicznego, jawi się więc jako brama do... pustki. Chrystianizm jednak, jako religia Zmartwychwstania, głęboko wierzy, że życie cnotliwe, podobne do życia wielkich świętych średniowiecza, przyniesie nagrodę w postaci życia wiecznego w niebie.

Spodobał Ci się ten tekst?

Masz własne zdanie?

Chesz o coś zapytać?



źródło:unsplash.com

Umarli świata żyjącego



Olga Wachowiec

Mówi się, że co kraj, to obyczaj. Mimo tego, że często różnice między państwami zacierają się, tradycje przenikają się wzajemnie, a kulturowe „dziwactwa” normalnieją, temat pochówku zmarłych nie jest globalnie uregulowaną kwestią. Niektóre nietuzinkowe obyczaje z przeróżnych zakątków świata przetrwały aż do dzisiaj, a inne, choć już zakopane w historii, nadal pozostawiły po sobie ślad.

Prawdopodobnie wszyscy z Was kojarzą urywki scen z filmów amerykańskich przedstawiające równo wystrzyżone trawniki ze śnieżno-białymi tablicami nagrobnymi. Pewnie słyszeliście też niejednokrotnie o kremacji zmarłych stającej się coraz bardziej popularną w naszych czasach... Jeszcze bardziej znajomy powinien w takim razie

być dla Was zapach zniczy z początku listopada i ich ciepło okalające twarze na polskich cmentarzach. Co natomiast powiecie o istniejącym nadal rytuale pogrzebowym z Indonezji, w którym stypa zamienia się w paradę po mieście ze zwłokami oraz w kilkudniową biesiadę i jedną z największych „życiowych” imprez?

Stypa życia w plemieniu Toradża

W Indonezji, w plemieniu Toradża, momentem śmierci nie jest chwila zatrzymania akcji serca czy obumarcia mózgu. Za zmarłego uznaje się dopiero tego człowieka, nad którym odprawione zostały rytuały pogrzebowe w jego rodzinnym re-



źródło:unsplash.com

gionie. Kiedyś dawało to początek „paradom zombi”, bo ciężko było przetransportować ciało człowieka zmarłego inaczej niż po wstępnej kremacji, prowadząc go obok siebie pod ramię, by ten dotarł do swego rodzinnego domu i pożegnał się z bliskimi.

Obecnie era samochodów ułatwiła kwestię powrotu, ale cała reszta obrzędu, mimo upływu czasu, nie uległa szczególnym zmianom. Zauważalną różnicą może być natomiast fakt, że teraz „chorego” (bo tak w tym regionie mówi się na osoby zmarłe) przetrzymuje się nie w domu, lecz w odrębnej budowli do czasu, aż rodzina uezbiera fundusze na godny pochówek. Ta norma stała się wymogiem ze względu na zdrowie i bezpieczeństwo ludzi w otoczeniu zmarłego.

Pomimo dużych sum pieniężnych zaoszczędzonych na święto, jakim jest pogrzeb, czymś normalnym pozostaje

przybywanie na uroczystości z podarunkiem w postaci czegoś jadalnego, na przykład kury, owcy lub bawołu. W ten sposób biedniejsze rodziny mogą zorganizować całe wydarzenie już po kilku miesiącach, bo część kosztów, i tak ogromnych, zostaje pokryta przez gości. Stypa zaczyna się od przyjęcia podarunków od przybyszów, a później przekształca się w radosny kondukt, który koniecznie musi przejść przez wszystkie ulubione miejsca zmarłego. Panuje jednak ważna zasada, by trumna z wcześniej skremowanym ciałem zmarłego pod żadnym pozorem nie dotknęła ziemi – w takim wypadku całą ceremonię trzeba by było zaczynać od nowa. Gdy pochód dociera do „wioski umarłych”, ludzie rozchodzą się do pawilonów, by jeść, pić i świętować.

Najważniejszym rytuałem jest zabijanie zwierzęcia (bawołu) jako ofiary. Całe wydarzenie

staje się finalnie rodzinną imprezą z tradycyjnymi tańcami i wspólną biesiadą. Może ona trwać – w zależności od zamożności zmarłego i jego rodziny – nawet do kilku, kilkunastu dni, aż ciało spocznie w rodzinnym grobowcu. Ten może być albo specjalnie wybudowany, albo wykuty w skale, lub przygotowany w istniejącej już jaskini. Kończąc cały rytuał, przy wejściu do jaskini stawia się tau tau, czyli trójwymiarową figurkę przedstawiającą zmarłego oraz... krzyż, ponieważ plemię Toradza przyjęło chrześcijaństwo jako swoją religię.

Uczta sępów w Tybecie

W tym zakątku świata wierzy się, że ciało to tylko „pokrowiec” na ludzki intelekt, zatem odrzucono tam ideę zmartwychwstania ciała i duszy. Jest to bowiem jedno z założeń buddyzmu. Stało się to więc powodem, dla którego zwłoki najczęściej poddaje się kremacji. Istnieją natomiast regiony na świecie, w których dostęp do niej jest utrudniony, a z powodów skalistego podłoża wykopanie grobów jest niemożliwe. Żeby rozwiązać ten problem, wybrano inną formę pochówku. „Pogrzeb powietrzny” lub „niebiański pogrzeb”, bo tak nazywana jest ta cała uroczystość, to nic innego jak – po kilkudniowych obrzę-

dach religijnych – pozostawienie ciała w specjalnym miejscu, zwanym Doliną Buddy.

Wyznaczeni fachowcy sprawnie zajmują się zmarłym, nacinając jego ciało i zostawiając je sępom. Karmione w ten sposób ptaki mają do wykonania dwa zadania. Po pierwsze ci padlinożercy pożerają ciało – kości po uczcie ptaków są mielone, doprawiane mąką jęczmienną i masłem, a następnie oddawane im na nowo, by po zmarłym nic nie pozostało. Drugim zadaniem tych zwierząt jest natomiast uwolnienie intelektu, który wypuszczony z ciała może wznieść się do nieba.

Podobne formy pochówku w przeszłości odbywały się także w Mongolii, Persji oraz Indiach. Lekarze i ekolodzy zwracają jednak uwagę na problemy tego rodzaju pochówków. Nie tylko zmarli w sposób naturalny bywają w ten sposób chowani. Często też ci, którzy zmarli na

różne choroby (np. na gripę czy AIDS), też zostają rzućeni na uczcie dla sępów.

Koraliki w Korei Północnej

W 2000 roku w Korei Północnej weszły w życie przepisy, które regulują kwestie pochówku. Z powodu braku miejsc na cmentarzach oraz rosnącej liczby zmarłych – ci, którzy są w ziemi, nie znikają przecież w przeciągu kilku chwil – władze tego kraju ustanowiły przepis, że maksymalny czas utrzymania grobu to 60 lat. Po tym czasie ciało człowieka ma zostać zabrane z miejsca jego pochówku. Co w takim razie robi się ze szczątkami zmarłego i jakie jest rozwiązanie tego problemu?

Poza zwykłą kremacją, w Korei Północnej znajduje się kilka firm, które oferują zamiast skremowanego popiołu w koraliki. W wysokiej temperaturze prochy bowiem krystalizują się.

W ten sposób przetapia się je na koraliki, a te później maluje się na różowo, fioletowo, niebiesko lub czarno. Rodzina zmarłego może przetrzymywać więc jego szczątki w postaci drobnych kuleczek w przyozdobionym flakonie. Często są one także wieszane w domach krewnych osoby zmarłej.

Warto jednak zaznaczyć, że nie jest to jedyny sposób rozwiązywania wyżej wspomnianego problemu, ale i pewnego rodzaju tradycja. Mimo że przez wieki w tym kraju obowiązywała ideologia szanująca szczątki przodków oraz nakazująca ich pochówek, z powodów przepisów i braku przestrzeni, aktualnie jedynie około 30 procent zmarłych jest poddawanych tradycyjnemu pochówkowi.

Huśtawki na wysokości z Chin

Ta tradycja, choć już niepraktykowana w obecnych czasach, jest mimo wszystko warta uwagi, ponieważ jej efekty widoczne są aż do dzisiaj. Mowa tutaj o tradycji ludu Bo. Zmarli po śmierci chowani byli w trumnach wykonanych z jednego kawałka drewna, a te wieszane były na pionowych skałach. Według badań, najstarszej trumnie nadaje się wiek sięgający 2500 lat, podczas gdy najmłodsza z nich została zawieszona około



źródło:unsplash.com



źródło:unsplash.com

400 lat temu. Do tej pory pozostaje wiele spekulacji, dlaczego obrzęd pochówku na tych terenach kończył się spuszczeniem trumny z wysokiej skalnej półki.

Jedna teoria na ten temat dotyczy kwestii ochrony zwłok przed dzikimi zwierzętami, które mogłyby zbeczczyć zwłoki, po prostu je pożerając. Inni utrzymują natomiast, że z tych ogromnych wysokości dusze zmarłych miały łatwiejszą drogę w zaświaty. Argumentem potwierdzającym tę drugą tezę są informacje o tym, że dla ludu Bo skalne półki były symbolami schodów do nieba.

Ghana i trumny w kształcie ryb lub mercedesów

Ten wbrew pozorom nie tak stary zwyczaj zrodził się w Ghanie wśród ludu Ga dopiero w połowie XX wieku. Wtedy to władca tego kraju zamówił dla siebie ozdobioną lektkę w kształcie

orła. Niestety nie doczekał do stawy swojej własności, więc jego krewni po otrzymaniu lektki umiejscowili ciało zmarłego w środku i w ten sposób je pochowali. Można powiedzieć, że z tamtego wydarzenia zrodziła się moda na różnokształne trumny. Stało się to do tego stopnia popularne, że niektóre firmy zaczęły tworzyć swoje portale na Facebooku, promując w ten sposób swoją działalność i sprzedając swoje dzieła nawet na inne kontynenty.

Część z wytwarzanych trumien w ogóle nie trafia jednak pod ziemię, a jest umieszczana w muzeach lub na przeróżnych wystawach. Aktualnie pracownice tworzące tego rodzaju dzieła stały się również atrakcją turystyczną, a rodziny zmarłych bez problemu mogą zamówić trumnę w kształcie ryby dla rybaka, mikrofonu dla piosenkarza, czy autobusu dla kierowcy. Cena takiej trumny wynosi od około 700

dolarów aż kilkunastu tysięcy. Suma ta jednak nie powinna nikogo zdumiewać, ponieważ uroczystości pogrzebowe często organizowane są z takim rozmachem, że ich koszt może wynosić nawet wartość rocznych dochodów jednej osoby.

Madagaskar i różnorodność świata

Te pięć przykładów pochówków, choć wydających się abstrakcyjnymi, istniało dawniej, a w niektórych przypadkach niekiedy nadal występuje w ówczesnym świecie. Trudno też mówić o dziwactwach, gdy przykładowo na Madagaskarze słowa „śmierć nie jest końcem” nabierają nowego znaczenia, kiedy normą staje się odgrzebywanie zmarłych do wspólnych tańców raz na kilka lat. Warto więc otworzyć oczy na otaczający nas świat oraz na różnorodność kultur, która, choć lekko przerażająca, inna, może mieć w sobie także odrobinę nietuzinkowego piękna.

Spodobał Ci się ten tekst?

Masz własne zdanie?

Chesz o coś zapytać?



źródło: pixabay.com

Skomponował: Marcin Luter – Reformacyjna pochwała muzyki, część 2.



Mikołaj Durka

W poprzednim wydaniu Adeste kroczyliśmy ścieżkami wyznaczonymi przez wybitne jednostki ze świata renesansowej muzyki. Jak na październik – w którym to przypada pamiątka reformacji – przystało, towarzyszymi wędrówki byli ci, którzy położyli fundament pod to, co dzisiaj znamy jako muzykę Kościoła ewangelicko-augsburskiego. W listopadzie pozostaniemy w równie doborowym towarzystwie. Chciałoby się „zacząć od Bacha”, ale na kantorze św. Tomasza akurat zakończymy. W drodze do Lipska zajrzemy do Drezna, Wenecji, Lubeki i Neapolu. Za plecami zostanie renesansowa perfekcja kontrapunktu, w jej miejsce pojawią się figury retoryczne i emocje o zróżnicowaniu i sile właściwej zwłaszcza epoce baroku, która właśnie otwiera przed nami wypełnione muzyką komnaty.

Celem tego tekstu jest przybliżenie czytelnikom Adeste wybranych dzieł, do których odsłuchu serdecznie zapraszam w trakcie lektury niniejszego artykułu i poza nią. Wszystkie

fragmenty Pisma Świętego zostały zaczerpnięte z Biblii ks. Jakuba Wujka. Tłumaczenie tekstów Oratorium na Wielkanoc i innych dzieł bachowskich autorstwa prof. Mirosława Perza.

Włoskie wzory

„Okolo roku 1600, czyli mniej więcej w połowie życia Monteverdiego, w muzyce zachodniej nastąpił prawdziwie

radikalny zwrot – jaki nie zdarzył się nigdy przedtem, ani nie miał zdarzyć się nigdy potem”[1]. W 1597 roku we Florencji powstała *Dafne* Jacopa Periego, pierwsza opera; w tym samym czasie powstał też zupełnie nowy styl w muzyce, *stile nuovo*, *seconda pratica*, *stile moderno*. Wydarzenia te zaowocowały wykształceniem się jednego z najbardziej rozmocjonowanych i, moim zdaniem, najpiękniejszych okresów w historii muzyki, który zawiera w sobie umysły tak genialne, że w istocie brakuje właściwych słów, żeby opisać to, co ziszcza się w ich muzyce. Było to możliwe m.in. dzięki zasadniczej zmianie w relacjach muzyka-słowo. W wiekach średnich czy w dobie odrodzenia tekst utworów w niewielkim stopniu determinował ich charakter. Zazwyczaj kiedy komponowano nowe dzieło, ważniejszy od znaczenia słów był kontrapunkt, czyli zasady prowadzenia kilku równoważnych głosów w ramach jednego utworu. Kompozytorzy barokowi, poczynając choćby od *Claudia Monteverdiego*, to właśnie słowu przyznali rolę nadrzędną i odtąd to ono zaczęło w największym stopniu wpływać na charakter nowych kompozycji.

Monteverdi niewątpliwie był jednym z największych kom-

pozytorów w historii. Na przestrzeni kilkudziesięciu lat udało mu się diametralnie przeobrazić muzyczny świat. W momencie rozpoczęcia nauki Monteverdi był głęboko zanurzony w renesansowym sposobie pojmowania muzyki, a z czasem stał się on wiodącym przedstawicielem nowego stylu. Z dokonań jego i współczesnych mu kompozytorów włoskich czerpał najwybitniejszy przed Bachem kompozytor wywodzący się z Niemiec, *Heinrich Schutz*.

Schutz muzyki uczył się m.in. od *Giovanniego Gabriello*, organisty katedry św. Marka w Wenecji. Tam też w 1611 roku wydał swoje pierwsze utwory, Pierwszą księgę madrygałów. Były to dzieła świeckie, ale 8 lat później w Dreźnie Schutz wydał I Księgę Psalmów Dawida, wzorowanych na twórczości swojego weneckiego nauczyciela. W dziele tym dokonało się przeniesienie osiągnięć muzycznych dotychczas znanych jedynie w świecie włoskim, w pewnym sensie w świecie katolickim, na grunt niemiecki, czyli luterański. Dzięki podróżom Schutza w ewangelickich świątyniach zabrzmiała muzyka, która do tej pory wykonywana była jedynie w kręgu katolickim. Jak pisał sam autor „psalmy te utrzymane są w stylu recytatywnym,

do tej pory w Niemczech nieznanym”. Pięknym przykładem zmian zaszczepionych w muzyce Kościoła Ewangelickiego jest Psalm 120 (121) *Ich hebe meinen Augen auf* (Podniosłem oczy moje). Od początku da się zauważyć, jak linia melodyczna, pnąc się po pięciolinii, odwzorowuje powolne podnoszenie wzroku, padającego na góry, odmalowane melodią o rozległym ambitusie dźwiękowym, będące w tym miejscu obrazem Nieba. W następnym wersecie w uszy rzuca się końcowy fragment „(...) który stworzył niebo i ziemię...”. Schutz dźwiękowo niebo stawia zawsze ponad ziemią, wprowadzając wyraźne różnice w wysokości melodii. Z kolei w Psalmie 6 *Ach, Herr, strafe mich nicht* (Panie, w zapalczywości twej nie karć mnie) ukazuje nam się muzyczny obraz modlitwy pełnej westchnień i smutku. Każde zdanie jest tutaj potraktowane z należytą uwagą, muzyka poddana jest pod dyktando słów. I tak w wersecie 4 „*Ich dusza moja strwożona jest bardzo*” wyraźnie słychać, jak strach potrzasa duchem psalmisty. Dalej, np. kiedy pięć wersów później pada okrzyk „*Odstąpcie ode mnie...*”, Schutz wyraźnie zaznacza go w partii obydwu chórów (mamy tu do czynienia z pochodzącą z Wenecji techniką polichóralną,

[1] N. Harnoncourt, *Muzyka mową dźwięków*, Warszawa 1995.



źródło: pixabay.com

ale o niej napiszę przy innej okazji). Psalmen Davids stworzyły warunki do dalszego przeszczerpienia nowego stylu na grunt luterński. Zaowocowało to w pierwszych zwiastunach tego, co potem stało się ewangelicką specjalnością – mowa o kantatach i muzyce pasyjnej.

Muzyka na Wielki Piątek

W kalendarzu Kościoła Ewangelickiego najważniejszym momentem roku liturgicznego jest celebrowanie Wielkiego Piątku. Naturalnie po zainicjowaniu reformacji pojawiło się duże zapotrzebowanie na utwory o charakterze pasyjnym. Dzieła takie zaczęto komponować już kil-

kanaście lat wystąpieniu Lutera. Początkowo były to chorałowe pasje responsorialne. Miały one bardzo prostą budowę, cechowały się nieskomplikowaną melodyką. W dobie baroku zmiany dotknęły także i tego typu muzykę, zatem gdy w Dreźnie po raz pierwszy (w roku 1666) zostało wykonane napisane przez Schutza opracowanie opisu męki Chrystusa pochodzącego z Ewangelii wg św. Mateusza, można było w nim usłyszeć rozemocjonowany tłum czy wzburzonych uczniów, których wypowiedzi zawarte zostały w krótkich, nasyconych uczuciami motetach. Mimo to nie były to zmiany rewolucyjne. Wciąż brakowało towarzyszenia ja-

kichkolwiek instrumentów, a tekst był zaczerpnięty jedynie z Biblii, natomiast partie Jezusa, Ewangelisty czy pojedynczych osób dalej cechowały się melodyką wprost nawiązującą do tonu chorałowego.

W międzyczasie za sprawą innych kompozytorów luterńskich pasja zaczęła przybierać formę będącą połączeniem oratorium i kantaty. Oznacza to, że pojawiły się liryczne komentarze do ewangelicznego tekstu, wprowadzano fragmenty Biblii spoza Ewangelii, dodawano także chorały, czyli śpiewy gminy kościelnej, a wśród wykonawców na stałe zagościły instrumenty realizujące tzw. basso continuo, często swoją



Claudio Monteverdi - portret

źródło: wikicommons.com

grą komentujące bieg wydarzeń. Pojawiły się recytatywy i arie – formy zaczerpnięte z neapolitańskiej opery. Rozpoczął się proces kształtowania pasyjnego języka, jaki znamy z dzieł Bacha czy Telemanna – pełnego emocji, wyszukanych figur retorycznych, zawierającego w sobie zarówno ewangeliczny opis męki, jak i poetyckie rozważania oraz modlitwę zgromadzonych zawartą w chorałach.

Zanim jednak do Bacha dołączymy, chciałbym zatrzymać się w Lubece, gdzie na przełomie wieków XVII i XVIII tworzył Dietrich Buxtehude. W 1680

roku napisał on prawdopodobnie pierwsze oratorium protestanckie, zatytułowane *Membra Jesu nostri patientis sanctissima*. Moim zdaniem jest to jedno z największych arcydzieł pasyjnej muzyki barokowej. Formalnie zostało ono zaplanowane jako cykl 7 kantat, z których każda odnosi się do innej części zranionego ciała Chrystusa. Począwszy od stóp i kolan, poprzez dłonie, boki i piersi, na sercu oraz twarzy skończywszy, Buxtehude przeprowadza słuchaczy przez oparty na Biblii i średnio-wiecznej poezji emocjonalny opis umęczonego ciała Chry-

stusa, utrzymany w medytacyjnym charakterze. Każda z części poprzedzona jest instrumentalnym wstępem, po którym, już z towarzyszeniem śpiewaków, wykonywane jest concerto, gdzie następuje prezentacja wybranego fragmentu Pisma Świętego. W instrumentalnym wstępie do kantaty nr 3 Do dłoni muzycy podnoszą atmosferę głębokiego zasmucenia, pisząc wypełniony westchnieniami i bólem muzyczny komentarz do następnie prezentowanego fragmentu z księgi Zachariasza „Cóż to za rany są w pośrodku rąk twoich?” (Za 13,6). W concerto przez ponad dwie minuty słyszemy tylko to pytanie. Początkowe, nasycone żalem i bólem trio sopranów z altem pokazuje, z jakimi emocjami będziemy mieli do czynienia. Uwagę szczególnie przykuwa moment, kiedy pytanie pada po raz ostatni, tym razem zadawane przez alt, tenor i bas, pełne zawstydzenia i zrezygnowania, utrzymane w pokutnym nastroju. Po zaprezentowaniu wybranego fragmentu Biblii Buxtehude przechodzi do tekstu poetyckiego, ukazwanego w formie arii solowych bądź zespołowych. Warto przyrzyć się basowej arii *Ave, verum templum Dei* (Witaj, prawdziwa świątynio Boga) z piątej kantaty *Do piersi*. Nieprzypadkowa wydaje się nagła zmiana charakteru w momencie pojawienia się

słów „tu totius arca boni” („Ty, arka wszelkiego dobra”). Muzycy nagle porzucają błagalny charakter poprzedniej części arii, podkreślony wcześniej trzykrotnym wezwaniem „Precor, precor, precor, miserere mei” („Proszę, proszę, proszę, zmiłuj się nade mną”). Gdy jest mowa o Chrystusie, muzyka rozpromienia się, jakby ukazywała słuchaczom zupełnie inną rzeczywistość. Po chwili oczywiście powraca błagalny nastrój arii, kiedy solista modli się o włączenie do grona wybranych. Całości dopełnia stosowany powszechnie w tego typu formach rytorel instrumentalny, spinający klamrą afekty zawarte w arii.

A.M.D.G.

Taki dopisek można znaleźć na wielu bachowskich partyturach. Poczynając od dzieł organowych, poprzez kantaty, na wielkich dziełach wokalo-instrumentalnych pokroju *Pasji wg Św. Mateusza* czy *Mszy h-moll* kończąc, wszędzie w muzyce Jana Sebastiana Bacha słychać echo jednej z głównych zasad reformacji, *Soli Deo gloria*. Co prawda kantor św. Tomasza nie zawarł go w partyturze obejmującej *Oratorium na Wielkanoc*, ale z pewnością można stwierdzić, że gdy je kompono-

wał, musiała być to jedna z jego głównych motywacji. Nad dziełem tym chciałbym się pochylić nieco głębiej niż nad utworami ukazanymi w poprzedniej części artykułu. Skoro wcześniej zajmowaliśmy się luterąską muzyką pasyjną, zdecydowanie nadszedł czas na muzyczny obraz zmartwychwstania, a próżno szukać kogoś, kto lepiej by go zaprezentował niż Bach.

Oratorium na Wielkanoc BWV 249 zostało oparte o powstałą wcześniej świecką kantatę, *Entfliehet, verschwindet, entweichet, ihr Sorgen, BWV 249a* (do naszych czasów dotrwał jedynie tekst). Pierwsze trzy części dzieła to instrumentalna *Sinfonia* i *Adagio* oraz początkowa partia chóru. Instrumentalny wstęp, jak podaje w jednej ze swoich audycji prof. Mirosław Perz, został zaczerpnięty z jednego z wcześniejszych powstałych koncertów. Zgodnie z dawnym niemieckim obyczajem Zmartwychwstały Chrystus witany jest „z kotłami i trąbkami”. To właśnie te instrumenty nadają charakter *Sinfonii*, pełnej blasku, tryumfu i radości. Trębacze wraz z resztą zespołu prześcigają się, kto piękniej ukaże szczęście wielkanocnego poranka. Następnie pojawia się nostalgiczne *Adagio*, z solową partią oboju. Nastrój ten jednak nie utrzymuje się długo, gdyż

po chwili ponownie rozbrzmiewają trąbki, a chór śpiewa: „Hej, bierzcie, a spieszcie o stopy me ściągłe, do grobu Jezusa co w skałę go ma. Radość, uciecha rozpiera nam serca bo Zbawca nasz zmartwychwstał już. Biegnijcie i spieszcie, o wy, lotne stopy, do pieczary dotrzeć, gdzie Jezus złożony!”. Początkowo chór ten był duetem śś. Piotra i Jana, którzy razem biegli do grobu, aczkolwiek z czasem pierwsza część tekstu przypadła chórowi, w drugiej natomiast wciąż możemy usłyszeć apostołów w żywiołowym duecie, wyrażających w rozbudowanych figuracjach i koloraturach swoją ogromną radość.

„Miłą bądź mi śmierci męko, jakby drzemką”. Druga aria *Oster-Oratorium* to pełna czułości i spokoju modlitwa, otoczona łagodnym, sielskim brzmieniem fletów prostych, skrzypiec z tłumikami oraz miękkim akompaniamentem basso continuo. Treść przedstawia nam charakterystyczne dla Kościoła ewangelicko-augsburskiego spojrzenie na śmierć. Jak pisał Luter: „Gdy umarli będą obudzeni ze snu, wtedy podobnie, jak gdy kto ze snu rano wstaje, nie będą wiedzieć, gdzie byli i jak długo spali”[2] oraz „Jeżeli dusza znalazła w Nim swego Zbawiciela, to gdzież ma przebywać

[2] ks. J. Motyka, *Bóg i My. Wprowadzenie do dogmatyki*, Warszawa 1971 Luteranie.pl



Heinrich Schutz na portrecie

źródło: commons.wikimedia.org

po śmierci, jak nie u Niego?”[3]. Charakter arii kreuje przede wszystkim kołysząca melodia fletów, w którą po kilku liniach włącza się solista. Znamienne jest każdorazowe zatrzymanie i rozciągnięcie głównej melodii, kiedy w tekście pojawia się słowo „drzemka”. Znowu wypada nam sięgnąć do Lutera: „»Jak długo będzie trwał ten przejściowy stan snu?«. Na to pytanie Luter

odpowiedział: »Tutaj trzeba usunąć z wyobraźni czas i wie-dzieć, że na tamtym świecie nie ma ani czasu, ani godziny, gdyż wszystko jest jedną wieczną chwilą«[4]. Błogi charakter arii zmienia się na moment, gdy dochodzimy do słów „Tak, odświe-ży mnie zapewne i łzy mego bólu też z mych policzków mile zma-że”. Uwagę przykuwa to, jak ak-centowane jest za każdym razem

słowo „ból”. W kontekście całego przytoczonego zdania warto w doszukiwaniu się przyczyn takiego muzycznego ujęcia tego fragmentu ponownie wkroczyć w arkana teologii luterńskiej. Człowiek, nie będąc w stanie wyzwolić się ze swojej grzesznej natury, jest w pewnym sensie skazany na wewnętrzną walkę, wywołującą cierpienie i troski, od których wyzwoleniem jest moment śmierci. Nasuwa się tu choćby pierwszy chór kantaty opatrzonej numerem BWV 12: „Płacz i żale, troski strachy, nę-dzy lęk, to chrześcijań gorzki chleb co Jezusa znak dźwigają”. Podobny nastrój w arii *Sanfte soll mein Todeskummer* po kilku liniach ustępuje miejsca pierwotnej kołysance.

Koniec *Oratorium* jest try-umfem w czystej postaci. Jako wprowadzenie służy recytatyw „Radujmy się, iż miły Jezus zno-wu żyw”, po którym z blaskiem, radością i światłem rozbrzmiewają dziesiątki instrumentów i gardeł, z trąbkami i kotłami na czele. Wyrazem tej radości jest śpiew: „Chwała twa i nasz dank niech zawdy brzmi”. Po chwili muzyka zmienia charakter na nieco bojowy, gdy uszom uka-zuje się fragment obrazujący walkę między śmiercią a życiem. „Piekło, szatan pokonane, jego

[3] Tamże

[4] Tamże



Obraz "Ecce homo" autorstwa
Adama Chmielowskiego

źródło: wikicommons.com

Wierzchołek góry lodowej

O samym Bachu można by napisać nieporównywalnie więcej, nie mówiąc o pozostałych kompozytorach luterńskiego świata muzycznego. Wszakże nie wspomniałem nawet słowem o muzyce organowej Kościoła Ewangelickiego, kantatach Bacha i jego poprzedników, a i Haendel miałby nam wiele ciekawego do zaoferowania. W pierwszej części artykułu obiecałem także spotkanie z Francesco Feo, niestety jeżeli miałoby do niego dojść, tekst ten rozrósłby się nieco ponad miarę. Słowa jednak dotrzymam. Najpewniej w okresie Wielkiego Postu zaproponuję w ramach muzycznego lectio divina opracowanie Pasji wg św. Jana autorstwa właśnie tego kompozytora, aby ukazać Czytelnikom Adeste, że i katolicy mają wiele do zaoferowania w zakresie twórczości pasyjnej. Tymczasem zapraszam ponownie do niezwykle bogatego świata muzyki zborów ewangelickich i życzę miłego i owocnego odsłuchu.

Spodobał Ci się ten tekst?

Masz własne zdanie?

Chesz o coś zapytać?

bramy legły już. Krzycie więc o gardła wolne, aż do nieba samych bram". Pojawia się wielogłosowy fragment, któremu towarzyszą słowa uwielbienia: „Otwórzcie o nieba podwoje wspaniałe, Lew Judy nadchodzi zwycięski, potężny”. Faktura polifoniczna może mieć tu duże znaczenie, ponieważ począt-

kowy temat przechodzi przez praktycznie wszystkie głosy całego aparatu wykonawczego, co może być symbolem powszechnej radości i dziękczynienia wszystkich wiernych. Samo zakończenie ostatniego chóru wydaje się bardzo dobrze odpowiadać słowom jemu towarzyszącym, jest po prostu „potężne”.



źródło:unsplash.com

Śmiertelne oblicze neopogaństwa



Bartłomiej Witeszczak

Znajdujemy się w kaplicy. No, może w czymś, co z przymrużeniem można by, od biedy, uznać za kaplicę. Sporych rozmiarów pomieszczenie o błękitnych ścianach, w centrum sporych rozmiarów stół – ołtarz. Na nim dwa krzyże, na podstawce ustawionej na środku niezbyt opasła książka przypominająca lekcjonarz. Nie mogło zabraknąć świec, u stóp ołtarza mnóstwo kwiatów i roślin przywołujących na myśl wystrój prezbiterium w typowej wiejskiej parafii. Element niepasujący? Niemożliwe do przeoczenia dwa przerażające posągi kostuchy, czaszki rozsiane po całym prezbiterium, dwie kosy wetknięte w kwiecistą dekorację ołtarza. Oto rzeczywistość, w której żyje na co dzień niemała część obywateli Meksyku oraz USA deklarujących się jako wyznawcy La Santa Muerte.

Przenajświętsza Śmierć, Po-
tężna Pani, Matka Chrzestna,
Biała Dziewczyna, Koścista Pani,
Dziwka, Pani Cieni – już sama
obfitość tytułów nadawanych La

Santa Muerte przez jej wyznaw-
ców ukazuje pewną różnorod-
ność, charakterystyczną dla na-
turalnych i niekontrolowanych
odgórnie form kultu. Nie znaj-

dziemy jednego konkretnego
wizerunku, traktowanego przez
wszystkich jej wyznawców za
obowiązującą powszechnie nor-
mę; jej wizja uzależniona jest

w sporej mierze od osobistego doświadczenia wierzącego. To, co natomiast można uznać za pewnik, element łączący i gromadzący wyznawców wokół La Santa Muerte, to dziedzictwo historyczne, na którego kanwie powstał ten kult, określona filozofia postępowania oraz uczestnictwo w rytuałach i modlitwach jej poświęconych.

Historia

Wszystko zaczęło się – jak można się łatwo domyślić – w czasach przedchrześcijańskich. Na terenach dzisiejszego Meksyku rozmaite cywilizacje zaczęły się kształtować już w okolicach 2500 roku p.n.e., a wśród najbardziej znanych kultur znajdują się m.in. Olmekowie, Zapotekowie czy Majowie. Nas interesują przede wszystkim jednak Aztekowie, największy i najbardziej rozwinięty lud tamtego okresu. Pojawili się w XII wieku, rozkwit ich cywilizacji przypadł na wiek XIV i XV, gdy dzięki skutecznej polityce prowadzenia wojen znacząco powiększyli swoje terytorium, wyrastając na lidera regionu.

System wierzeń

A z t e k ó w
mocno odwo-
ływał się do

ducha śmierci, a można wręcz stwierdzić, że był nim przesiąknięty. Dla zmarłych przewidziano trzy miejsca, do których ich dusza mogła się udać po śmierci. Spośród nich najważniejszy jest Mictlan, podziemna kraina, dokąd z założenia trafiała przeważająca większość zmarłych. Mictlan wyrażał – co stanowi istotny motyw filozofii wyznawców La Santa Muerte – równość i sprawiedliwość wszystkich ludzi w obliczu śmierci: przybywali tam bogaci i biedni, rolnicy, urzędnicy, władcy, niewolnicy, przestępcy.

Krwawe ofiary z ludzi są często pierwszym skojarzeniem, jakie nasuwa się nam, gdy myślimy o ludach zamieszkujących w tamtym czasie Amerykę Łacińską i nie jest ono bynajmniej przypadkowe. Doskonale

podkreśla obsesję Azteków na punkcie śmierci, uznawanej za najlepszy sposób na podziękowanie bogom, ich przebłaganie oraz ukontentowanie.

W XVI wieku doszło do zderzenia kultur. Do Nowego Świata przybyli Hiszpanie, przywożąc ze sobą nie tylko nową religię, całkowicie odmienną od wierzeń autochtonów, ale i swój własny wzorzec kulturowy śmierci. Jego przejawem był powstały u schyłku średniowiecza powszechnie znany motyw danse macabre. W kulturze hiszpańskiej symbolem śmierci była postać kościotrupa, odzianego w czarne szaty i trzymającego kosę, zwanego La Parca.

Jednym z efektów tego bardzo gwałtownego zetknięcia się dwóch odmiennych cywilizacji okazał się synkretyczny system wierzeń. Wynikał on ze strategii katolickich misjonarzy, która polegała na szukaniu punktów wspólnych oraz zachęcie do chrzczenia pogańskich tradycji, by stopniowo przeobrażać je w formy pobożności katolickiej. Na tym gruncie pojawił się właśnie kult La Santa Muerte, dziś utożsamianej głównie z hybrydą azteckich bogini Coatlicue (bogini życia, śmierci, płodności) i La Parki, ponurej żniwiarki.

Istnieje mało źródeł opisujących ten kult w jego po-



źródło:pixabay.com

czątkach. Pierwsze historyczne wzmianki pojawiają się dopiero w dziennikach hiszpańskich księży z XVIII wieku przedstawiających wyznawców La Santa Muerte praktykujących swoją religię w ukryciu, oficjalnie zaś trzymających się katolicyzmu. Łączy się to niewątpliwie z bardzo istotną kwestią pochodzenia i statusu społecznego większości wierzących w Przenajświętszą Śmierć.

Filozofia

Co właściwie sprawia, że ludzie postanawiają czcić Śmierć?

Tomás Prower w swojej książce „La Santa Muerte, magia i mistycyzm Śmierci” proponuje dwie główne odpowiedzi na to pytanie. Po pierwsze, Śmierć jest neutralna, można by nawet rzec – skrajnie neutralna. Dosięga szpicem swojej kosy każdego, nie robiąc wyjątków. Nie zważa na status materialny, pozycję społeczną, czy pochodzenie. Ponadto, wykonuje swoją powinność bez oceniania i moralizowania. Bardzo często właśnie to pragnienie poczucia sprawiedliwości sprawia, że ludzie zaczynają wierzyć w La Santa Muerte, która jest im w stanie je zagwa-

rantować. Dotyczy to przede wszystkim ludzi z szeroko rozumianego marginesu społecznego lub postrzeganych przez społeczeństwo jako „wyklęci”: biedota, przemytnicy, gangsterzy, homoseksualiści, kobiety wyzwolone i wiele innych. Wszyscy oni u La Santa Muerte znajdują nie tylko schronienie przed potępiającym spojrzeniem społeczeństwa, ale przede wszystkim poczucie zrozumienia ze strony współwyznawców oraz gwarancję zadośćuczynienia za doznane krzywdy.

Drugim zaś czynnikiem zachęcającym ludzi do wiary



źródło:unsplash.com

w Śmierć jest rozpacz. Gdy ich dotychczasowe przekonania załamują się pod ciężarem trudnego doświadczenia, starają się oni za wszelką cenę odnaleźć sens i otrzymać pomoc. Udział w magicznych rytuałach zapewnia im poczucie wysłuchania, a rozwiązanie dręczących ich kłopotów interpretują jako cudowną interwencję bóstwa.

Należy też wspomnieć o filozofii życiowej, towarzyszącej kultowi La Santa Muerte, ponieważ w wielu wypadkach to ona przyciąga przyszłych wyznawców. Zakłada ona przede wszystkim stawienie czoła własnym wyobrażeniom i lękom związanym ze śmiercią, odrzucenie ich i zaakceptowanie jej jako nieodłącznego elementu egzystencji. Ma to na celu doprowadzenie do prawdziwej radości związanej z przeżywaniem życia, którego nietrwałość dostrzegają. Aby to osiągnąć, czciciele dążą do unikania złych emocji, takich jak złość, nienawiść, czy zazdrość. Starają się również darzyć szacunkiem każdą formę życia i zakładają szeroką tolerancję religijną oraz seksualną.

Kult i magia

Dotarliśmy do najbardziej problematycznego punktu, na którym zasadza się odrzucenie kultu La Santa Muerte przez

Kościół katolicki i potępienie go jako satanistycznego. Nie generalizujemy jednak kwestii wszystkich praktyk, związanych z kultem La Santa Muerte; należy dokonać ich szczegółowego rozróżnienia. Pomoże to uniknąć wyolbrzymienia tej kwestii, a zarazem jej zbagatelizowania.

Święto Zmarłych (El día de muertos) ma duże znaczenie kulturowe dla Meksykanów i stanowi ważny element ich tradycji narodowej. Choćby z tego powodu znacząca większość z nich angażuje się bezpośrednio lub pośrednio w jego obchody, nawiązujące do kultu śmierci. Celebracja tego dnia zawiera w sobie, oprócz zachowań zrozumiałych i akceptowanych w naszej kulturze (nawiedzanie cmentarzy, sprzątanie i przystrajanie grobów), także te nietypowe. Należy do nich między innymi pisanie wierszyków, piosenek o charakterze satyrycznym, epitafiów opisujących danego zmarłego, przemarsze i pochody ze szkieletami. Przede wszystkim jednak świętuje się poprzez wznoszenie ołtarzy i umieszczanie na nim ofiar dla zmarłych, czyli cukrowych czaszek, chlebka, kwiatów, portretu zmarłego, świec, krzyża, kandyzowanej dyni, owoców, kopalu, wody, jedzenia i alkoholu.

Trudno ocenić, na ile uczestniczący traktują ten zwyczaj czysto symbolicznie, a na ile

magicznie – ostatecznie 80 procent Meksykanów deklaruje się jako katolicy, co wedle danych z 2010 roku oznacza około 92 miliony osób. Trudno ten zwyczaj sklasyfikować wprost jako pogański, zwłaszcza że łączy się on bardzo często z modlitwą za dusze czyśćcowe. Jest to właściwie nie do końca bezpieczny synkretyzm, który w niektórych wypadkach wymknął się spod kontroli i przerodził w wynaturzenie – hybrydę religii katolickiej i religii La Santa Muerte – urzeczywistnione na przełomie XX i XXI wieku.

Historia publicznego kultu La Santa Muerte w czasach najnowszych sięga lat czterdziestych ubiegłego wieku, jednakże głośno o swojej wierze wyznawcy Śmierci zaczęli opowiadać dopiero w latach dziewięćdziesiątych. Spory rozgłos zyskali w roku 1998 po aresztowaniu Daniela Arizmendi Lopeza, meksykańskiego porywacza i zabójcy, który, jak się okazało, należał do czcicieli La Santa Muerte. Sława ta przyczyniła się do polaryzacji nastrojów społecznych względem kultu. Klasa wyższa i średnia potraktowała go jako zagrożenie, a z kolei biedota i ludzie z marginesu garnęli się, by dołączyć do grona wyznawców.

W roku 2000 Tradycyjny Święty Apostolski Kościół Katolicki Meksyku i USA (ISCAT Mex-USA) złożył wniosek o za-

legalizowanie go jako wspólnoty wyznaniowej. Dokument został zatwierdzony w roku 2003, lecz już w 2005 anulowano go. Wynikało to ze względów politycznych, czyli sprzeciwu Kościoła Katolickiego, a także wojny wytoczonej kartelom narkotykowym przez ówczesnego prezydenta Meksyku Felipe Calderóna, których większość członków należy do wyznawców La Santa Muerte. Przyczyniły się do tego również wewnętrzne problemy ISCAT Mex-USA, który po próbie złagodzenia (a zarazem skomercjalizowania) swojego wizerunku zanotował wyraźny ubytek członków. W roku 2011 przewodzący ISCAT Mex-USA samozwańczy biskup David Romo został aresztowany, osądzony i skazany pod zarzutem przynależenia do gangu porywaczy.

Warto zaznaczyć, że ISCAT Mex-USA deklaruje się jako odłam Kościoła Katolickiego. W swojej doktrynie zawarł jednak treści wyraźnie sprzeczne z tradycyjnym nauczaniem Kościoła, począwszy od kultu Śmierci poprzez odrzucenie dogmatów o Niepokalanym Poczęciu, nieomyłności papieża i wniebowzięciu Najświętszej Maryi Panny, a skończywszy na zniesieniu celibatu, zgodzie na seks pozamążelński, akceptacji małżeństw jednopłciowych, czy przyzwoleniu na antykoncepcję

we wszystkich formach.

Odpowiednik „mszy” w tym kościele także stanowi synkretyczną interpretację, a właściwie parodię Mszy Świętej. Wśród elementów składających się na liturgię wyznawców La Santa Muerte znajduje się zmodyfikowany różaniec kierowany do niej, wspólna modlitwa, podczas której wierni trzymają się za ręce i wyobrażają sobie Śmierć oraz modlitwa, której przy ołtarzu przewodzi „kapłan”. W dalszej kolejności następują prośby o odgonienie wrogów, pokój i błogosławieństwo, zmodyfikowana i poszerzona modlitwa „Ojcze nasz”, powtarzana przez wiernych za kapłanem oraz egzorcyzm kierowany do Śmierci. Zazwyczaj pojawia się również kazanie (odnoszące się do treści ewangelicznych), modlitwa kapłana z uniesionym sztyletem, śpiewy, zmienione credo i komunie polegająca na rozdaniu kawałków chleba umoczonych we krwi, bez uprzedniej konsekracji.

Podjęcie przewodniczącego do celebracji nie jest nacechowane zbyt dużą powagą, pozwala on sobie na liczne komentarze, objaśniające sens konkretnych rytuałów i modlitw. W tym miejscu należy ponownie zaznaczyć, że wyznawcy La Santa Muerte tworzą wiele rozproszonych wspólnot i przebieg liturgii oraz rytuałów może się różnić; duży

nacisk kładą oni zresztą na kreatywność i autentyczność doświadczenia religijnego. Nie można jednak zaprzeczyć, że czerpią otwarcie jeśli nie z treści, to przynajmniej z form kulturowo utożsamianych z katolicyzmem.

Jednakże oprócz celebracji nawiązujących do katolickich form kultu elementem konstytutywnym religii La Santa Muerte są praktyki magiczne, odrzucające wprost przez Kościół katolicki. Wyznawcy wykorzystują je, aby zapewnić sobie pomyślność (lub zaszkodzić komuś) na wielu płaszczyznach, od kwestii materialnych poprzez te związane z miłością, pożądaniem, płodnością i wiernością, aż po pomoc w zwolnieniu z więzienia i wpływnięciu na wyrok sądu. Wszystkie te rytuały opierają się w mniejszym lub większym stopniu na wizualizacji oczekiwanych skutków, co w połączeniu z użyciem właściwych minerałów, kadzi deł, czy roślin ma stworzyć odpowiednią atmosferę sprzyjającą medytacyjnemu spotkaniu Śmierci i przedłożeniu jej swojej prośby.

Opinia Kościoła

Biskupi meksykańscy oraz amerykańscy wielokrotnie w wypowiedziach prywatnych i swoim nauczaniu zwracali uwagę na demoniczny i pogań-



Źródło: pixabay.com

ski charakter kultu La Santa Muerte, przykładowo arcybiskup Santa Fe, John Wester, powiedział: „Ona [śmierć] nie jest świętą. Nic dobrego nie może wynikać z modlitw skierowanych do niej. Mamy wielu świętych reprezentujących nauki Jezusa; ta jest aberracją”. Warto wspomnieć, że jedną z pierwszych decyzji papieża Franciszka było jednoznaczne potępienie kultu

La Santa Muerte. Uczynił to za pośrednictwem Papieskiej Rady ds. Kultury, której przewodniczący, kardynał Gianfranco Ravasi, wypowiedział się o kulcie Śmierci w następujący sposób: „Mafia, przemyt narkotyków i przestępstwo nie są strukturami religijnymi. Nawet gdy posługują się La Santa Muerte na sposób religijny, nie stanowią religii. To element bluźnierczy.

To nie religia. To degeneracja”. Podczas swojej wizyty w Meksyku w 2016 roku Franciszek podtrzymał swoje stanowisko, zaś meksykańscy biskupi co roku przy okazji obchodów Dnia Zmarłych apelują do wiernych o unikanie uczestnictwa w magiczno – satanistycznych rytuałach.

W dzisiejszych czasach neopogaństwo ma wiele twarzy. Kult La Santa Muerte na pierwszy rzut oka może wydawać się problemem marginalnym w skali świata, niemniej jednak nie można przejść obok niego obojętnie. Jest to konkretny znak czasów, wskazujący ku czemu uciekają i czego poszukują ludzie nierzadko rozzarowani swoim doświadczeniem Kościoła. Warto pamiętać o nich w modlitwie i próbować ich zrozumieć w duchu poszukiwania współczesnego człowieka, tkwiącego na peryferiach, nie popadając przy tym w retorykę skażoną przesadną tolerancją i przyzwoleniem na deformowanie wiary.

Spodobał Ci się ten tekst?

Masz własne zdanie?

Chesz o coś zapytać?

Ofiara z życia w polskiej kulturze



Szymon Kozieja

Czy podejmowanie walki w przegranej sprawie ma sens? A może nic nie jest stracone i jest jeszcze nadzieja? Przed tym dylematami stała się cała historia Polaków, przez co sama ofiara z życia stała się bardzo ważnym elementem w polskiej poezji patriotycznej. Z drugiej strony tragedie powstań powodowały zmianę strategii walki – odkładano broń i zakasywało się rękawy do codziennej pracy.

Tematyka śmierci jest nieodłącznym elementem każdej kultury. Nie ma w tym nic dziwnego – w aspekcie naturalnym dotyczy ona każdego z nas. Różnią się jednak jej okoliczności. Podczas burzliwej historii Polski ukształtował się w naszej literaturze motyw śmierci jako ofiary w imię wyższej sprawy. Motyw ten, z jednej strony chwalony przez patriotów, staje się niejako wciągnięty w sferę sacrum życia narodowego, z drugiej strony istnienie jego jest krytykowane jako coś niebezpiecznego i zgubnego dla Polski przez inne osoby miłujące swoją ojczyznę. Pomijając jednak osąd

tego tematu, warto pochylić się nad kilkoma przykładami z literatury polskiej.

Bitwa pod Sokalem

W polskojęzycznej literaturze motyw ofiary z życia za ojczyznę wbrew pozorom nie narodził się pod zaborami. Już w XVI wieku renesansowy poeta Jan Kochanowski wyraził jasno swój pogląd na ten temat. Pisał on w swojej fraszce *Na Sokalskie mogiły*:

*Tuśmy się mężnie prze
ojczyznę bili
I na ostatek gardła położyli.*

*Nie masz przecz, gościu,
złez nad nami tracić,
Taką śmierć mógłbyś
sam drogo zapłacić.*

Sama bitwa pod Sokalem odbyła się 2 sierpnia 1519 roku pomiędzy wojskami polsko-litewskimi a Tatarami i skończyła się porażką wojsk Rzeczypospolitej. Straty po obu stronach były wysokie. W przypadku wojsk polsko-litewskich było to 1200 żołnierzy, czyli prawie 20 procent stanu liczebnego przed bitwą. Wśród poległych znalazł się też Fryderyk Herbut, któremu po latach swój wiersz poświęcił Mikołaj Sęp Szarzyński,



źródło: pixabay.com

uważany za jednego z prekursorów baroku w Polsce. W dwóch ostatnich zwrotkach poeta tak pisał:

O, cny rycerzu! Nie tylko
szczęśliwie
Duch twój z wielkimi
bohaterami żywie:
I tu, dokąd Bug cichy wody swoje
Niesie do Wisły, dotąd imię twoje
Trwać będzie w ustach
ludu rycerskiego.
I rzecze człowiek serca
wspianego:
„Z lepszym Ojczyzny szczę-
ściem, wieczny Panie,
Racz mi naznaczyć tak
prętkie skonanie”.

Oba wiersze przedstawiają podobne postawy wobec takiej ofiary. Wskazują one, że samo męstwo w walce nadaje sens takiej śmierci. Nie można jednak patrzeć na artystę i jego poglądy poprzez pryzmat tylko jednego dzieła. Warto więc przywołać Pieśń V Kochanowskiego, w której opisał on najazd Tatarów na Podole w 1575 roku. Był to głos krytyki skierowany wobec Polaków, którego celem było prawdopodobnie – poprzez ukazanie tej tragedii – wskazanie dróg do poprawy obronności kraju.

Hymn do miłości Ojczyzny

Do tematu umierania za ojczyznę powrócił także Ignacy



źródło:unsplash.com

Krasicki w pełnym patosie Hymnie do miłości Ojczyzny. Według legendy wiersz został zainspirowany słowami starego wiarusa potraconego przez tego biskupa.

Filolog klasyczny Jerzy Danielewicz wskazał zaś, że tekst ten jest parafrazą pieśni do Doskonałości Arystotelesa. Utwór ten był wygłoszony w 1774 roku podczas obiadu czwartkowego.

Święta miłości kocha-
nej Ojczyzny,
Czują Cię tylko umysły pocziwe!
Dla ciebie zjadłe sma-
kują trucizny,
Dla ciebie więzy, pęta
nie zelżywe.
Kształcisz kalectwo przez
chwalebne blizny,
Gnieździsz w umyśle roz-
koszy prawdziwe.
Byle cię można wspo-
móc, byle wspierać,
Nie żał żyć w nędzy,
nie żał i umierać.

Utwór ten pierwotnie powstał jako hymn do Szkoły Rycerskiej. Do dziś podczas uroczystości przyjęcia na studia pierwszego roku podchorążowie odśpiewują tę pieśń zaraz po Gaudeamus igitur. Kontekst historyczny jest także i tu ważny – w obliczu doświadczenia pierwszego zaboru.

Śmierć jako budowa drogi

Adam Mickiewicz 26 grudnia 1820 napisał *Odę do Młodości*, która niejako stała się manifestem polskiego romantyzmu. Przeciwwstawione są tam w sposób wyraźny stare pokolenie oświecenia i młode pokolenie romantyzmu. Mimo formy poetyckiej podobnej do dzieł poprzedniej epoki widać tutaj nowe sposoby patrzenia na świat. Pojawia się także w niej wątek dotyczący poglądu Adama Mickiewicza na śmierć w walce:

*I ten szczęśliwy, kto padł
wśród zawodu,
Jeżeli poległem ciałem
Dał innym szczebel
do sławy grodu.*

Widać wyraźnie, że tutaj ofiara z życia za wyższą sprawę ma torować drogę kolejnym walczącym – nie jest więc śmiercią bezsensowną. W dalszym dorobku tego poety także widać tendencję do sakralizacji roli dziejowej naszego kraju. Źródła mesjanizmu polskiego dopatruje się jeszcze w czasach wcześniejszych, gdy Polska była uważana za „przedmurze Europy”. W III części *Dziadów*, w widzeniu księdza Piotra losy Polaków zostają przyrównane do męki chrystusowej. Warto tu przywołać jeden z obrazów pojawiających się w tejże wizji:

*Ach, Panie, już widzę krzyż
- ach, jak długo, długo
Musi go nosić - Panie, zlituj się nad sługą.
Daj mu siły, bo w drodze upadnie i skona -
Krzyż ma długie, na całą Europę ramiona,
Z trzech wyschłych ludów, jak z trzech twardych drzew ukuty. -
Już wleką; już mój Naród na tronie pokuty -
Rzekł: „Pragnę” - Rakus octem, Borus żółcią poi,
A matka Wolność u nóg zapłakana stoi.*

Mesjanizm w formie, jaką przedstawił Mickiewicz w *Dziadach*, został skrytykowany przez Juliusza Słowackiego jako postawa biernego męczeństwa. W *Kordianie* zaproponował on winkelriedyzm. Inspirował się legendą szwajcarskiego rycerza Arnolda Winkelrieda, który w bitwie pod Sempach rzucił się na włócznie wojsk Austriaków, tworząc wyłom w szeregach przeciwnika. Krzychał przy tym „Droga dla Wolności!”. Warto to zestawić z Odą do Młodości Mickiewicza. Nachodzi tutaj jedno pytanie: Czy to nie są podobne postawy?

Obie jednak koncepcje z XIX w. są krytykowane przez niektórych patriotów, gdyż według ich interpretacji zakładają poświęcenie one Polski na rzecz innych narodów. Krytykowane są też jako zgubne i niebezpieczne, ponieważ prowadziły do otwartej konfrontacji z zaborcą. Doprowadziło to do krwawego rozprawienia się z powstańcami, wywózkami i ograniczeniami autonomii Polaków. Zwolennicy powstań argumentują jednak, że bez idei powstań Polska nie odzyskałaby niepodległości. Kontrargumentem na to jest ukazywanie historii Finlandii czy Czech, bądź polskiej Galicji, czy Wielkopolski gdzie albo powstań nie było, albo były to małe i nieznaczące zdarzenia, bądź też skończyły się zwycię-

stwem. Lecz czy to wystarczający argument? Warto, pogłębiając swoją wiedzę historyczną, samemu sobie odpowiedzieć na to pytanie, gdyż nie jest to temat na sam jeden artykuł – możliwe, że i grubej książki by nie starczyło! Kolejną jeszcze trudną sprawą jest ocena Powstania Warszawskiego i nieustanna debata o nim toczona.

Warto jednak na zakończenie wrócić jeszcze raz do tematu „śmierci jako budowy drogi”. Przywołajmy tutaj tekst modlitwy Narodowych Sił Zbrojnych z XX wieku, której autorem był ks. bp Henryk Strąkowski, który bardzo dobrze oddaje nadzieje, smutki, tragedie i marzenie partyzantów z tego ugrupowania:

*Panie Boże Wszechmogący,
daj nam siłę i moc wytrwania
w walce o Polskę,
której poświęcamy nasze życie.
Niech z krwi niewinnie prze-
lanej braci naszych,
pomordowanych w lo-
chach gestapo i czeki,
niech z łez naszych matek i sióstr,
wyrzuconych z odwiecz-
nych swych siedzib,
niech z mogił żołnierzy naszych,
poległych na polach ca-
łego świata,
powstanie Wielka Polska.*

*O Mario, Królowo Korony Polskiej,
błogosław naszej pra-
cy i naszemu orężowi.*



źródło: wikicommons.com

*O spraw miłościwa Pani,
patronko naszych rycerzy,
by wkrótce u stóp Jasnej
Góry i Ostrej Bramy
zatrzepotały polskie sztandary
z Orłem Białym
i Twym wizerunkiem. Amen.*

„Nikt nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół swoich” (J 15, 13).

Mówiąc o śmierci jako ofierze, nie sposób nie przypomnieć losu św. o. Maksymiliana Kolbe – historia jego jest dość dobrze znana, więc zamiast kolejnego opisu jego życia warto pozwolić przemówić temu, któremu uratował on życie. Był to Franciszek

Gajowniczek, który po wojnie zeznał tak:

W okresie żniw, w ostatnich dniach lipca 1941 roku, przy nadarzającej się sposobności, jeden z więźniów oświęcimskich z mojego bloku zbiegł. Jako represja za to, na wieczornym apelu nastąpiło dziesiątkowanie więźniów mojego bloku. Dziesięciu więźniów z mojego bloku wyznaczono na śmierć. Dowódca obozu Fritzscha w towarzystwie Rapportfuhrera Palitzscha dokonał selekcji (wyboru). Nieszczęśliwy los padł również na mnie. Ze słowami: „Ach, jak żał mi żony i dzieci, które osierocam”, udałem się na koniec bloku. Miałem iść do celi śmierci

głodowej. Te słowa usłyszał O. Maksymilian Kolbe, franciszkanin z Niepokalanowa. Wyszedł z szeregów, zbliżył się do Lagerfuhrera Fritzscha i usiłował ucałować jego rękę. Fritzscha zapytał tłumacza: „*Was wunscht dieses polnische Schwein?*” (pol. *Czego chce ta polska świnia?*)

O. Maksymilian Kolbe, wskazując ręką na mnie wyraził swoją chęć pójścia za mnie na śmierć. Lagerfuhrer Fritzscha ruchem ręki i słowem: „Heraus” (pol. Wyjść), kazał mi wystąpić z szeregu skazańców, a moje miejsce zajął O. Maksymilian Kolbe. Za chwilę odprowadzono ich do celi śmierci, a nam kazano rozejść się na bloki. W tej chwili trudno mi było uświadomić sobie ogrom wrażenia, jaki ogarnął mnie; ja, skazaniec mam żyć dalej, a ktoś chętnie i dobrowolnie ofiaruje swoje życie za mnie. Czy to sen, czy rzeczywistość?... Wśród kolegów wspólnej niedoli oświęcimskiej dał się słyszeć jeden głos podziwu heroicznego poświęcenia życia tego kapłana za mnie.

Spodobał Ci się ten tekst?

Masz własne zdanie?

Chesz o coś zapytać?



źródło: pixabay.com

Polska historia ze szwedzkim akcentem



Nina Kogut

Za niedługo świętować będziemy 100. rocznicę odzyskania niepodległości przez nasze państwo. Właściwie wiadomo to już od dawna, w końcu trudno było odpędzić się od wszędobylskich billboardów i spotów radiowych. Ale ja dzisiaj nie o tym. W temacie patriotyzmu chciałabym opowiedzieć o pewnych Szwedach zafascynowanych historią i niekryjących swojej sympatii dla Polaków... i nie tylko. Oto przed państwem – Sabaton.

Sabaton to zespół heavy/power metalowy zespół, którego specjalnością są numery o tematyce wojennej. Do niedawna śpiewali niemal wyłącznie o XX wieku i II wojnie światowej. Do niedawna, ponieważ wydany w 2016 roku album *The Last Stand* miał o wiele szersze ramy

czasowe, bo aż od antyku, przez średniowiecze, po czasy współczesne. Oprócz tego strzałem w dziesiątkę okazał się dwujęzyczny album koncepcyjny z 2012 *Carolus Rex*, traktujący o czasach największej świetności Szwecji przypadającej na XVII wiek. Nie mamy jednak cza-

su na szczegółową analizę i interpretację dyskografii zespołu, dlatego przejdę do rzeczy.

Fascynacja

Wyobraźcie sobie zdziwienie polskich wielbicieli tzw. „ciężkiej muzyki”, kiedy podczas fe-

stiwalu Przystanek Woodstock w 2012, w trakcie wykonywania utworu 40:1, opowiadającego o obronie Wizny w pierwszych dniach wojny obronnej Polski, wokalista grupy Joakim Brodén rozwinął ogromną flagę naszego państwa i dumnie nią wymachiwał. A także wcześniej, kiedy 1 sierpnia 2010 roku światło dzienne ujrzał klip promujący piosenkę *Uprising*. Opowiada ona o powstaniu warszawskim, a z innych utworów Sabatonu, nawiązujących do polskiej historii, wyróżnia go to, że wokalista składa nam niezwykle hołd w postaci wyśpiewania polskich słów – „Warszawo walcz!”. Podobno bardzo długo ćwiczył wymowę, tak aby brzmiało to idealnie. Ogólne zainteresowanie historią oraz fakt, że Sabaton bardzo często odwiedza kraj nad Wisłą sprawiły, że zespół ma obecnie w Polsce bardzo dużą grupę fanów. Nie mówiąc już o pewnej sympatii, którą Szwedzi nas obdarzają. Jak to jednak wszystko się zaczęło?

Cele i zamierzenia

Od razu mówię, że nie zamierzam przytaczać całej biografii Sabatonu. Nie mniej jednak pewne jej elementy muszą się tu pojawić, chociaż szczegóły dotyczące korzeni i inspiracji można sobie darować. Młodzi Szwedzi nauczani niemiłymi

doświadczeniami postanowili znaleźć własną niszę artystyczną – historię i wojny. „By zacząć, musieliśmy mieć o czym śpiewać, gdyż mamy muzykę i teksty. I zamiast pisać o rzeczach, o jakich śpiewa mnóstwo zespołów, jak fantastyka lub narkotyki, lub coś w tym stylu, zdecydowaliśmy się śpiewać o czymś, co było rzeczywiste. Także dlatego, że ja jak i Joakim interesujemy się historią, ale także dlatego, że chcieliśmy śpiewać o czymś, co wydarzyło się naprawdę, a nie o czymś fikcyjnym czy ze świata fantasy. I w 2004 roku, gdy tworzyliśmy album *Primo Victoria*, zaczęliśmy pisać teksty związane z wydarzeniami historycznymi. I odkryliśmy, że bardzo nas kręci pisanie i śpiewanie o historii. Także dla wielu ludzi, co zrozumiałe, o wiele ciekawsze wydaje się słuchanie o tych historiach, gdyż dla nich mają one głębsze znaczenie”.

Tak mówił basista i drugi lider grupy, Pär Sundström, w wywiadzie dla portalu Rockville. Jak więc zatem łatwo wywnioskować, zespół wybrał sobie tematykę dosyć ciężką i nie raz kontrowersyjną. Historia, zwłaszcza ta najnowsza, nadal wzbudza silne emocje, pomimo że nie powinna (przynajmniej w teorii). Sabatonowi już kilka razy oberwało się za rzekome propagowanie nazizmu. Niemcy zabronili im wykonywania

w swoim kraju utworu *Rise Of Evil*, traktującego o powstaniu III Rzeszy Niemieckiej i przejęciu władzy przez Adolfa Hitlera (choć oczywiście robią to nadal, to jeden z żelaznych punktów każdego koncertu). Zespół miał problemy również w Rosji – ktoś puścił plotkę, że podczas koncertu w rocznicę bitwy pod Stalingradem (obecnie Wołgograd) zespół zbezcześci rosyjską flagę. Plotki, na szczęście, okazały się nietrafione. Sam zespół wielokrotnie apelował, żeby oddzielić ich twórczość od polityki czy promowania jakiegokolwiek ideologii. Ale ciężko też nie zwrócić uwagi na gloryfikację pewnych tematów czy nawet samej wojny. Wiem, że Sabaton stara się tego unikać, jednak czasem ciężko pozostać bezstronnym, co jest zrozumiałe. Taka gloryfikacja wojny może objawiać się np. w scenografii na koncertach Sabatonu. Z czasem nieśmiało zasieki i strój sceniczny w postaci kamizelek kuloodpornych przekształcił się w strzelający czołg i samoloty. Ponadto początkowo utwory Sabatonu były niemal w 100% patetyczne i poważne, jednak coraz częściej panowie stawiają na przebojowość, co sprawia, że tematyka wojenna ulega trywializacji. Być może są to wymogi producenckie, ponieważ popularność Sabatonu systematycznie wzrasta. Sami zainteresowani natomiast zawsze



Żołnierze AK podczas akcji Burza w Lublinie, lipiec 1944

źródło: wikicommons.com

odnosili się z wielkim szacunkiem do opowiadanych przez siebie wydarzeń historycznych, niezależnie czy to tematyka Holocaustu, czy napuszony hymn o amerykańskich żołnierzach.

Polski wątek

Sabatón po raz pierwszy „puścił oko” do Polaków w 2008 roku, właśnie we wspomnianym już utworze 40:1. Pochodził on z albumu *The Art Of War*, który podejmował tematykę taktyki wojennej na podstawie traktatów wielkiego chińskiego stratega Sun Tzu. Każda z pozycji na albumie opisuje bitwę, która była przykładem zastosowania kolejnych punktów Sztuki wojny. Zespół zdecydował się także na umieszczenie bohater-

skiej obrony Wizny, porównał walczących żołnierzy i kapitała, Władysława Raginisa, do Spartan (zresztą Wizna bardzo często określana jest jako polskie Termopile). Do dzisiaj 40:1 jest wykonywany na koncertach obowiązkowo z udziałem polskiej flagi (co ciekawe, nie tylko w Polsce).

„Śpiewamy o historii Polski, bo dobrze wiemy, że dla was ma ona duże znaczenie, jesteście jej świadomi, że szanujecie i czcicie swoich żołnierzy. [...] Tak długo, jak są tacy, którzy lubią tematykę naszych piosenek, których interesuje to, o czym śpiewamy, tak długo będziemy to robić. Zwłaszcza w odniesieniu do Polski, ponieważ, jak powiedziałem, zdajemy sobie sprawę z tego, że tutaj jest duża

świadomość historii. Każdy wie, co to było powstanie warszawskie. Każdy wie, że najpierw napadli was Niemcy, a potem Rosjanie narzucili wam komunizm. I chcemy to podkreślać przez nasze piosenki. To wstyd, że świat nie zdaje sobie sprawy z tego, co się u was działo”. Są to słowa wokalisty grupy świadczące o wielkim poszanowaniu dla historii polskiej, jak i samych Polaków. Zespół bardzo chętnie wraca do naszego kraju ze względu na ciepłe przyjęcia, czemu trudno się dziwić.

Zarzuty

Oczywiście nie może obejść się bez słów gorzkiej krytyki. Wielu słuchaczy czy nawet krytyków muzycznych odnosi wra-



źródło: wikicommons.com

żenie, że Sabaton śpiewa pod publiczność – każdemu co innego. Polakom o powstaniu warszawskim, Amerykanom o D-Day, Finom o Białej Śmierci, Brazylijczykom o Brazylijskim Korpusie Ekspedycyjnym walczącym we Włoszech itp. I faktycznie ciężko się nie zgodzić, bo albumy muszą się jakoś sprzedawać.

„Zdarzyło się nam parę wywiadów, podczas których dziennikarze próbowali wyprowadzić nas z równowagi, zadawali dość agresywne pytania. Coś w stylu, że śpiewamy o polskiej historii z przyczyn koniunkturalnych, żeby nasze płyty lepiej się sprzedawały. Tylko w pewnym sensie jest to prawda, bo przecież tematy do naszych piosenek nadsyłają nam fani”.

Zespół nie wypiera się tego, wręcz przeciwnie, znajduje nawet wytłumaczenie. Zostawiam ten temat do własnej refleksji.

Uliczny patriotyzm (?)

Wielu młodych ludzi (w tym ja, przyznaję się) zainteresowało się historią właśnie dzięki twórczości Sabatonu. Ale warto wiedzieć, że istnieje wiele innych zespołów tworzących muzykę o tematyce ściśle historycznej, również z Polski. Także legendy heavy metalu od czasu do czasu piszą kawałki o ciekawszych bitwach. W sumie wszystkie piosenki Sabatonu nawiązujące do polskiej historii to: 40:1, *Uprising*, *Inmate 4859* – o Witoldzie Pileckim, *Winged Hussars* – od-

siecz wiedeńska.

A jednak wśród polskich fanów Sabaton zbudował wokół siebie legendę. Członkom zespołu bardzo się w naszym kraju podoba z różnych względów. Można uznać to za powód do dumy. No właśnie, i czy to nowoczesny patriotyzm, czy raczej megalomania narodowa? Ale to już temat na inny artykuł.

*Spodobał Ci się ten tekst?
Masz własne zdanie?
Chesz o coś zapytać?*



źródło:unsplash.com

Na granicy życia i śmierci



Piotr Krajski

Śmierć w optyce katolickiej jest zaledwie przejściem człowieka ku kolejnemu etapowi. Istnieje jednak taki rodzaj śmierci, która dotyka żyjących, wstrzymując ich w drodze ku zbawieniu, a nawet wystawia je na ryzyko. Traumy i tragedie, które prowadzą do apatii i samobójstwa – jak spoglądają na to zagadnienie twórcy filmowi i czy dostrzegają szanse na wyjście z takiej sytuacji?

„Wielu spośród żyjących zasługuje na śmierć. A niejeden z tych, którzy umierają zasługuje na życie. Czy możesz ich nim obdarzyć? Nie bądź więc tak pochopny w ferowaniu wyroków śmierci, nawet bowiem najmądrzejszy nie wszystko wie” – ten fragment z *Władcy Pierścieni* na pierwszy rzut oka może wydawać się nieco odległy od tematu artykułu. Porusza on bowiem

kwestię doświadczenia traumy, które czyni niektórych ludzi niezdolnymi do życia. Pozbawieni nadziei, ciągle zablokowani i niepomagający wyzwolić się z cienia cierpienia, pozostają oni w przeszłości, jakby teraźniejszość i przyszłość stały się dla nich już nieosiągalne. Pomimo tego, ten fragment rozmowy Gandalfa z Frodem ukazuje jeden istotny fakt, czyli problem „umierają-

cych, którzy zasługują na życie” oraz braku wystarczającej wiedzy, by czyjeś życie (także swoje) uznać za przegrane. Na tych umierających za życia warto spojrzeć przez pryzmat filmowych przykładów.

Film *Nigdy Cię tu nie było* z 2017 roku przemknął przez kina całkiem niezauważony, pomimo tego że na festiwalu w Cannes otrzymał Złotą Palmę

za scenariusz oraz główną rolę Joaquina Phoenixa. Sam tytuł filmu został wiernie przetłumaczony i w pewien sposób podsumowuje stan Joego. Poznajemy go jako człowieka do wynajęcia, który przyjmuje trudne zlecenia polegające m.in. na odnajdywaniu porwanych czy zaginionych osób. Bohater nie należy do tych, którzy załatwiają takie sprawy subtelnie. Napotkanych przeciwników traktuje niezwykle brutalnie, a symbolem jego niszczącej, niewzruszonej postawy staje się dzierzony w rękę młotek. Metodycznie, bez żadnych wątpliwości pokonuje kolejne przeszkody.

Widząc postępowanie Joego, można pomyśleć, że niemal wyzbyty jest ludzkich uczuć. Jednak, kiedy poznajemy życie prywatne bohatera, pozostaje ono w kontraście do tych scen. W wolnym czasie Joe zajmuje się matką i pomimo pewnych trudności widać, że jest oddanym synem. Reżyserka – Lynne Ramsay, przedstawia ich relację w zaskakująco komediowym tonie i w podobny sposób ukazuje podejście bohatera do życia. Stajemy się bowiem świadkami „przymiarek” Joego do samobójstwa, który zdaje się czynić z nich niemal niewinną zabawę. Sceny tego rodzaju mogą sugerować pewien typ psychicznego zaburzenia lub niedojrzałości, ale w rzeczywistości oddają tra-

giczny stan bohatera, znajdując się w sytuacji, w której jedynie, co pozostaje, to obrócenie wszystkiego w żart.

Przez cały film przewijają się bowiem enigmatyczne wspomnienia z przeszłości. Składają się one na cały życiowy bagaż, który sprawia, że zaczynamy rozumieć zachowanie Joego. Doznał on trudnych przeżyć podczas służby wojskowej, a następnie pracy w policji, gdy bywał świadkiem brutalnych śmierci. Najmocniej jednak wyryło się w jego pamięci wspomnienie z dzieciństwa, przywołujące obraz okrutnego ojca. Można stwierdzić, że traum, jakich doświadczył Joe, wystarczyłoby dla kilku osób. Mimo to jego próby samobójcze pozostają głównie w sferze wyobrażeń.

Nasuwa się pytanie – co podsyci jeszcze wolę życia w bohaterze? Z jednej strony może to być matka, a z drugiej kolejne zlecenie, które polega na odnalezieniu porwanej dziewczynki. To właśnie ze względu na innych ludzi Joe żyje, choć zdaje się być nieobecny, ciągle dręczony wspomnieniami z przeszłości. Nawet gdy w wyniku śledztwa cały niepewny świat bohatera na nowo się wali, pragnienie ocalenia drugiej osoby ratuje go przed kolejną próbą samobójczą.

Trzeba podkreślić, że fabuła filmu jest skonstruowana w bardzo specyficzny sposób. Całe za-

danie, jakiego podejmuje się postać i to, co dzieje się wokół niej, pozostaje niewyjaśnione, ale surowa opowieść konsekwentnie prowadzi nas przez kolejne etapy walki Joego o życie. Choć przez cały film bohater nie przejawia oznak przemiany, pozostając dla nas kimś zewnętrznym, niewzruszonym, to poprzez historię małej dziewczynki reżyserka ukazuje wolę życia bohatera.

Ramsay nie stawia jednak łatwych rozwiązań, nie pozostawia widza z jasnym przesłaniem. Mimo to patrząc przez pryzmat doświadczeń bohatera, można wysnuć wniosek, że nawet po najbardziej traumatycznych doświadczeniach możliwe jest zachowanie zdolności do miłości i poświęceń.

W tematycznym związku z filmem Ramsay pozostaje *Zanim zniknę*. Już w pierwszej scenie produkcji Shawna Christensena jesteśmy świadkami próby samobójczej, której bohater zdaje się nadawać pewien rodzaj klimatu. W tle rozbrzmiewa utwór z gramofonowej płyty, a mężczyzna o imieniu Richie zanurza się w starej wannie, by pożegnać się ze swoim życiem za pomocą żyletki. W ostatnim momencie ratuje go jednak telefon. Jego siostra trafiła do aresztu i prosi go o tymczasowe zajęcie się jej córką. Richie, jak gdyby nic się nie wydarzyło w jego ży-



źródło:pixabay.com

ciu, zgadza się się na to.

To ujęcie przedstawia w nieco ironicznym świetle łatwość balansowania bohatera na granicy życia i śmierci. Pierwsze sceny sugerują trywialność jego myślenia o śmierci, ale niedługo potem możemy częściowo zrozumieć jego zachowanie. Richie nie potrafi pogodzić się z odejściem ukochanej. Ciągłe pod wpływem środków znieczulających i narkotyków, pracując w nocnym klubie, styka się dodatkowo ze śmiercią przypadkowej dziewczyny. Śmierć snuje się za bohaterem i dzieje się to dosłownie, szczególnie w jego wizjach, gdy postać z ko-

stuchą i płaszczem przechadza się wśród ludzi. U Christensena, jeszcze bardziej niż u Ramsay, uwidoczniiony jest komediowy rys całej sytuacji. Jednak znów jest to śmiech przez łzy.

Przez to, że bohater nie jest w stanie zaakceptować odejścia ukochanej osoby, staje się wycofany i żyje właściwie tylko nocą. Wymuszone zajęcie się siostrzenicą skłania go do zmiany nastawienia. Choć w *Zanim zniknę* specyficzna podróż bohatera przez nocne miasto, w towarzystwie dziewczynki, naznaczona jest wzajemnymi pretensjami i niechęcią, ostatecznie to właśnie los siostry i jej córki po raz

kolejny przeprowadza bohatera ze śmierci do życia.

Myśli samobójcze Richiego zdają się wynikać w pewnej mierze z egoizmu i zamknięcia się na otaczającą rzeczywistość. W porównaniu z *Nigdy Cię tu nie było*, bohater Christensena przechodzi raczej chwilowe, nagłe załamanie – a jednak wystarczyłby brak jednego telefonu od siostry, by pożegnał się ze światem. Okazuje się, że tak samo jak Joego, ratuje go obecność innych, a pomoc najbliższym staje się dla niego szansą, by pomóc samemu sobie.

Ostatni przykład na pierwszy rzut oka wydaje się najmniej

oczywisty, bo jest nim horror z kosmiczną apokalipsą w tle. *Ciche miejsce* Johna Krasinskiego opowiada o próbie przetrwania rodziny Abbottów w sytuacji, w której nieznane bestie opanowały ziemię. Potwory są niewidome, za to posiadają doskonały słuch. Dlatego też rodzina porozumiewa się ze sobą za pomocą języka migowego i w każdej sytuacji stara się zachować idealną ciszę.

Motyw śmierci można w tym miejscu rozważyć z kilku perspektyw. Gdy ojciec, wraz z synem, przemierzają las, natrafiają na starszego człowieka, który rozpacza z powodu śmierci żony. Jego krzyk okazuje się tak naprawdę próbą samobójstwa – jest on w pełni świadomy, że w wyniku tego działania zjawia się bestie, które go zabiją. Jednocześnie jednak wołanie to stwarza zagrożenie dla ojca i syna. Ten rodzaj rozpaczliwego pragnienia śmierci nie zważa na innych.

Kolejny krzyk, który pojawia się w filmie, jest krzykiem rodzącej matki i wokół motywu narodzin krąży także opowieść Krasinskiego. Krzyk bólu narodzin może sprowadzić na rodzinę zagładę, a jednak rodzice robią wszystko, by umożliwić nowemu członkowi rodziny przyście na świat. W odróżnieniu od samobójczego krzyku napotkanego starca, ten krzyk jest krzykiem

poświęcenia i miłości.

Ciche miejsce okazuje się więc w nieoczekiwany sposób opowieścią o poświęceniu życia dla życia. Wszechobecna śmierć i zagłada świata nie zmieniają postawy rodziny, dla której najważniejsze jest dobro najbliższych. W tym kontekście nie mamy styczności z traumą, która czyni bohaterów martwymi za życia, ale pokazuje, że w najbardziej skrajnych okolicznościach – w tym przypadku dosłownie światowej apokalipsy – można dostrzec sens, który nadaje życiu „najmniejsza jednostka społeczna”, jaką jest rodzina.

Wbrew widocznym różnicom wszystkie trzy przykłady ukazują bohaterów, którzy zdecydowali się z ekstremalnie trudną życiową sytuacją. Niezależnie od tego, czy jest to osobista trauma, śmierć najbliższych, czy śmierć znanego do tej pory świata, bohaterowie dostrzegają sens życia w ludziach, którzy ich otaczają. Ta postawa przywodzi na myśl ustępy z Katechizmu Kościoła Katolickiego: „Samobójstwo zaprzecza naturalnemu dążeniu istoty ludzkiej do zachowania i przedłużenia swojego życia. Pozostaje ono w głębokiej sprzeczności z należytą miłością siebie. Jest także zniewagą miłości bliźniego, ponieważ w sposób nieuzasadniony zrywa więzy solidarności ze społecznością rodzinną, narodową i ludzką,

wobec których mamy zobowiązania. Samobójstwo sprzeciwia się miłości Boga żywego” (KKK 2281).

Choć twórcy powyższych filmów nie odnoszą się w swoich historiach do Boga, „solidarność społeczna i rodzinna” okazuje się w ich produkcjach ratunkiem. Pozwala ona bohaterom wykroczyć poza źle pojętą miłość własną, pod której wpływem w wyniku cierpienia rezygnuje się z nadziei, wybierając ostateczną destrukcję.

Z punktu widzenia katolickiego, samobójstwo jest jednak głównie „sprzeciwem wobec miłości” Boga w tym sensie, że okazuje się ona brakiem wiary w Boże miłosierdzie. Pozostaje także brakiem miłości wobec najbliższych, a jej dostrzeżenie przez filmowych bohaterów może być szansą na to, by w przyszłości dostrzec także tę najtrwalszą, bo nieustającą, miłość samego Boga.

Spodobał Ci się ten tekst?

Masz własne zdanie?

Chesz o coś zapytać?